



REBECCA WINTERS



Rezerwat miłości

Tytuł oryginału: Rites of Love



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Courtney! - Głęboki męski głos zatrzymał Courtney Blake, gdy przechodziła przez Centrum Kulturalne Miccosukee. Jonas! Nie mogła uwierzyć. Musiała oprzeć się o poręcz pomostu, przy którym cumowała motorówka.

Jonas był przecież w Waszyngtonie, gdzie prowadził sprawę terytoriów plemiennych. Miał wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Myślała, że do tego czasu zdąży zwolnić się z pracy w kancelarii prawniczej i wyruszyć na Moczary.

Jego zdrada zraniła ją głęboko. Nie chciała go więcej widzieć ani słyszeć. Czy ten powrót i pojawienie się tutaj oznaczało, że jeszcze jej potrzebuje do realizacji planu pozyskania starszyny plemiennej?

Ogarnęło ją poczucie upokorzenia. Nie pozwoli jednak temu mężczyźnie cieszyć się, że jego obecność tak nią wstrząsnęła. Nie pokaże mu swego wzburzenia. Opanowała się i spojrzała na niego. Była średniego wzrostu. Musiała jednak zadrzeć głowę, aby ogarnąć wzrokiem wysoką, muskularną postać.

Jego zbyt długie włosy były czarne jak skrzydła brzytwodzioba, którego widziała krążącego na niebie. Kilka kosmyków opadło na opalone czoło i drżało pod najmniejszym podmuchem wiatru.

- O, Jonas! Cześć! - powiedziała chłodno. Nie mogła dać się zahipnotyzować tym oczom, w których odbijała się odwieczna zieleń otaczających ich Moczarów.

Wsunął opalone dłonie do kieszeni białych, luźnych spodni i postąpił o krok w jej kierunku. Jego wzrok pobiegł ku jej tenisówkom,

Powoli powędrował wzdłuż jej długich, zgrabnych nóg w wytartych dżinsach, poprzez pełne kształty pod perkalową bluzką i zatrzymał się na spływającym na piersi, długim do pasa kasztanowym warkoczu. Kiedyś takie spojrzenie popchnęłoby ją prosto w jego ramiona.

- Cieszę się, że nie zapomniałaś jeszcze mojego imienia! - powiedział głosem, w którym drżał tłumiony gniew. - Co się dzieje, Courtney?! Gdy dwa tygodnie temu odprowadzałaś mnie na lotnisko, byłem pewien, że nasz związek jest dla ciebie tak samo ważny jak dla mnie. Dlaczego uciekłaś bez jednego słowa? Jeśli myślisz, że możesz mnie zwodzić, to bardzo się mylisz.

- Nie! - Przerwała, szukając właściwych słów. - Nie zwodzę cię. Ale też nie widzę sensu w przedłużaniu naszej znajomości. Podczas twojej nieobecności dostałam stypendium z Oklahomy. Nie potrzebuję już tej roboty przy komputerze, żeby związać koniec z końcem, więc zwolniłam się.

Laura Winston, partnerka w prestiżowej firmie prawniczej Jonasa i jego ojca, Silasa Payne'a, nawet nie próbowała ukryć zadowolenia, gdy Courtney poprosiła o zwolnienie. Od dawna zresztą pytała ją, kiedy odchodzi. Silas natomiast rozumiał tę nagłą decyzję, choć żałował, że traci dobrą pracowniczkę.

Przystojna twarz Jonasa ściemniała.

- Co się, u diabła, stało, że odeszłaś tak nagle i że dwadzieścia cztery godziny później wyprowadziłaś się z mieszkania?

- Odpowiedziałam ci już na to pytanie - rzekła z widoczną goryczą. Pamiętała, jak łatwo zwiodło ją zainteresowanie, jakim ją obdarzył. Pokochała go tak bardzo, iż nie rozumiała, że przez dwa miesiące ich

spotkań bezwzględnie ją wykorzystywał. Jej uczucie od samego początku było tak silne, że w ogóle nie domyślała się innych motywów postępowania Jonasa.

Przez długą chwilę patrzył na nią zwięzonymi, czujnymi oczami.

- Nie igraj ze mną, Courtney!

- Ja nigdy nie igram. To nie leży w charakterze Miccosukee.

Przed jej oczami przemknął obraz triumfującej Laury, życzącej jej powodzenia w Oklahomie.

- A teraz przepraszam - powiedziała, lecz gdy próbowała odejść, zablokował jej drogę. Jego twarz płonęła.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki mi nie odpowiesz. Jonas potrafił być przerażającym przeciwnikiem, o czym mogli zaświadczyć jego przeciwnicy z sali sądowej. Dziewczyna jednak nie dała się zastraszyć.

- Chyba nie rozumiesz - powiedziała cicho, żeby nie przyciągać większej uwagi. - Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Już nie figuruję na twojej liście płac.

- Nie sądzisz chyba, że po tym wszystkim, co między nami zaszło w ostatnich miesiącach, wystarczy mi ta odpowiedź! - zawołał, a jego dłonie zacisnęły się w pięści. Na skroni mocno pulsowała mu cienka żyłka. - A może myślisz, że pozwolę ci odejść z mojego życia? Stworzyliśmy coś niezwykłego i wspaniałego, coś, co przekracza sprawy fizyczne, czego nigdy nie doświadczyłem z inną kobietą... Wiem - głos mu zadrżał - że czujesz to samo.

- Kierujesz te słowa pod złym adresem. Odwróciła się, aby odejść, lecz on schwycił ją za ramię. Serce zatrzepotało w niej jak skrzydła motyla, który unosił się nad nimi.

- A to, do diabła, co znowu ma znaczyć?!
- Puść mnie! - zażądała. - Muszę iść do pracy.
- Do jakiej pracy?!
- Do wycieczki.
- Jesteś przewodniczką? - zapytał z niedowierzaniem. - Myślałem, że nie musisz już pracować.
- Nie muszę - odparła, próbując zachować spokój.
- Pomagam przyjacielowi. A teraz pozwól mi odejść.
- Jesteś marnym kłamcą, Courtney! Przypadkowo, jeszcze przed podróżą do Waszyngtonu, dowiedziałem się, że straciłaś większość, jeśli nie wszystkie oszczędności, ale ty nie przyjęłaś ode mnie pożyczki.
- Grymas pogardy wykrzywił jego zmysłowe usta.
- Myślisz, że uwierzę, iż obecna praca zapewnia ci wynagrodzenie choćby zbliżone do tego, które dostawałaś w naszej firmie?
- Urodziłeś się w dobrobycie - wzięła głęboki oddech - więc ujmujesz wszystko w kategoriach pieniędzy.
- Nie można żyć bez nich. Z tej turystycznej zabawy nie wyciągniesz w sezonie więcej niż tysiąc dolarów.
- Już ci mówiłam, że pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Tylko przez parę dni zastępuję Henry'ego. Wiedz, że ta turystyczna zabawa pomaga utrzymać przy życiu kilkudziesięciu Indian. Ale przecież ten fakt nic dla ciebie nie znaczy.

Oczy Jonasa siały mordercze błyski, gdy powoli puszczał jej ramię. Nigdy jeszcze nie widziała go tak wściekłego. Jego milczenie było bardziej wymowne niż najzłośliwsza riposta. Minęła go przerażona.

Sądząc, że uwolniła się od niego odetchnęła z ulgą. Jęknęła, kiedy zobaczyła, że idzie za nią.

- Wybij sobie z głowy wszelkie plany ucieczki - odezwał się głosem tak zimnym, że zadrżała. Ku jej konsternacji usiadł w łodzi obok starszego małżeństwa, na jednej z białych ławek.

Courtney niepewnie opuściła się na fotel sternika. Czowała na sobie palące spojrzenie Jonasa. Policzyła pasażerów. Dziewięć osób... Ledwo mogła o nich myśleć. Jego obecność denerwowała ją tak, że nie wiedziała, jak przeżyje ten rejs. A gdy to się skończy, Jonas zażąda pełnych wyjaśnień, zrobi okropną scenę...

- Dzień dobry państwu! Jestem Courtney, wasza przewodniczka po kraju Pa-hay-okee, co w języku Seminoli oznacza rzekę traw. Choć jesteśmy tylko na skraju Parku Narodowego Everglades, zobaczymy krajobrazy takie, jak w centrum mokradeł. Życzę państwu przyjemnej wycieczki.

- Czy jesteśmy bezpieczni? - zapytał Jonas z lodowatym uśmiechem, patrząc uważnie na aligatory rozwalone na brzegu, wyglądające jak zużyte opony.

Courtney zeszywniała. Zrozumiała, co ją czeka. Ten uśmiešek zdradzał całą głębię jego gniewu i pragnienie ukarania jej. W takim nastroju Jonas był zdolny do wszystkiego.

Poczuła nagły przypływ adrenaliny. Uśmiechnęła się do wszystkich pasażerów, z wyjątkiem tego jednego.

- Popłyniemy w przeciwnym kierunku, i to szybciej niż one. Nie ma powodów do obaw - powiedziała spokojnie i uruchomiła silnik.

- O ile mi wiadomo, one potrafią płynąć z szybkością do pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę - zaproponował.

- To prawda, że czasami osiągają tę prędkość. - Wzięła głęboki oddech. - Prawda też, że ich potężne szczęki potrafią zewrzeć się z siłą siedemdziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. Ale płoszy je hałas śruby, więc unikają szlaków, którymi podróżujemy. Czy ktoś jeszcze chce się czegoś dowiedzieć o aligatorach?

Kilka osób, w tym Jonas, podniosło rękę. Odpowiadała na rozmaite pytania, jemu zaś wyjaśniła, że muszą już ruszać, jeśli chcą zdążyć przed zamknięciem Centrum.

Czy zdążymy na zapasy z aligatorami? - zagadnął ją ktoś, gdy płaskodenna łódź zaczęła ślizgać się po tafli wody, która wkrótce zmieniła się w kobierzec traw, kwiatów i wodorostów.

Pokaz odbędzie się pod koniec wycieczki - powiedziała do mikrofonu Courtney.

Czy będziemy mieli przyjemność oglądania pani w walce z aligatorem? - zapytał Jonas z krwiożerczym uśmiechem. Inni mężczyźni zachichotali.

Jonas był bezlitosny. Poczwała, jak płonie jej twarz.

- Ten sport wynaleźli biali. Tylko dwaj członkowie plemienia zostali wytrenowani w tej dziedzinie. A dla informacji państwa - jesteśmy na terytorium Indian Miccosukee i podróżujemy starymi szlakami, którymi kiedyś pływały czółna wydrażone z pnia cyprysu. Obserwując lilie i wodorosty pamiętajcie, że woda ma tylko piętnaście centymetrów głębokości i powoli spływa na południe, do oceanu.

Ciemne brwi Jonasa uniosły się w szyderczej pochwale dla jej słów. Najwidoczniej postanowił zmienić taktykę, bo rozparł się na drewnianej ławce i zaprzestał pytań. Tylko błyszczące zielone oczy nie dawały jej spokoju, denerwowały bardziej niż słowa. W przeciwieństwie do innych turystów, którzy podziwiali niezwykłą scenerię, nie chciał stracić ani jednego słowa z jej wykutego na pamięć wykładu i ani jednego jej spojrzenia.

Od ich pierwszego spotkania przed kilkoma miesiącami zachowywał się tak, jakby chciał wiedzieć o niej wszystko. Początkowo sądziła, że zainteresowanie to rodziło się z wielkiej fascynacji fizycznej, jaką poczuli do siebie. Później okazało się, że słyszał o niej od wspólnej znajomej, Rosy, która prowadziła restaurację w Rezerwacie Czerwonych Drzew Mangrowych. Rosa była przyjaciółką nieżyjącej już matki Courtney, Indianki z plemienia Miccosukee, i stała się przybraną ciotką dziewczyny. Jonas odwiedzał rezerwat, zajmował się bowiem kilkoma sprawami plemienia. Przebywając w barze Rosy, zaprzyjaźnił się z nią. Od niej dowiedział się o Courtney, która prowadziła w rezerwacie badania antropologiczne. Zainteresował się jej doktoratem o języku Indian Miccosukee i zaczął jej szukać.

Odczuli tak naturalny pociąg ku sobie, że Courtney nie podejrzewała prawnika o żadne ukryte zamiary, gdy wypytywał ją o indiańską matkę i białego ojca. Opowiadała o wszystkim, o kulturze i tradycjach plemienia.

Nie przyszło jej do głowy, że mógłby z premedytacją wykorzystywać ich zbliżenie do zdobycia zaufania szczepu. Dopiero,

dwa tygodnie temu, gdy Jonas był w Waszyngtonie, Silas i Laura uświadomili jej prawdę.

- Courtney! - Silas zajrzał do sali komputerów. - Przerwij tę robotę i zjść do mojego gabinetu na drinka. Właśnie dowiedzieliśmy się, że Jonas wygrał sprawę. Oczywiście, ma jeszcze coś załatwić i wróci dopiero za tydzień, ale jesteśmy z Laurą zbyt podnieceni, aby pracować.

Wzruszona, że wreszcie została rozstrzygnięta, ciągnąca się od dwóch lat, tak ważna dla Jonasa i dla niej, sprawa gruntów Miccosukee, chętnie przyjęła zaproszenie. Później, gdy Jonas zadzwoni, pogratuluje mu od siebie. Telefon był teraz jedynym łączącym ich ogniwem. Żyła, czekając tylko na wieczorne rozmowy.

Gabinet Silasa był pełen młodszych prawników i sekretarek, ale szef odnalazł ją i podał jej lampkę szampana. Poprosiwszy o ciszę powiedział:

- Chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli, jak bardzo doceniamy wkład Courtney w to wszystko.

Dziewczyna nie mogła ukryć zaskoczenia. Laura podeszła do niej z drugiego końca gabinetu.

- Wiesz... - powiedziała poufałym głosem, który Courtney wydał się obrzydliwy. - Jako pół-Indianka jesteś dla Jonasa świetnym punktem zaczepienia. To był nasz szczęśliwy dzień, gdy agencja przysłała cię na przesłuchanie.

- Tak jest! Tak jest! - ciepło wtórował jej Silas.

- Pozyskanie twojego plemienia było jego wymarzonym projektem. Bardzo mu się to przyda, gdy zostanie kandydatem na

gubernatora - wyjaśniła Laura. - Cudownie, że będziesz częścią jego sztabu.

Silas przytaknął jej skinieniem głowy i afektowanym ruchem objął Laurę.

- Bardzo ci jesteśmy wdzięczni za czas, jaki poświęcasz na przekazanie Jonasowi informacji potrzebnych do zrozumienia plemienia twojej matki. Troska o Indian będzie decydującym czynnikiem w jego kampanii o uratowanie Everglades i wysunie go na czoło wyścigu do fotela. Z Laurą u jego boku... Nie sądzisz, że będzie z niej wspaniała i piękna pierwsza dama Florydy?

Rozległy się brawa, wzniesiono toasty. Na szczęście Silas, zajęty agresywną prawniczką, nie zauważył, jak Courtney zbladła i wyszła z gabinetu. Pobiegnęła do łazienki, gdzie mogła bez świadków przyjąć ten zaskakujący cios.

Czy to prawda? Czy Jonas interesował się nią jedynie dla informacji, jakich mogła mu udzielić o Indianach? Czy od dawna zamierzał ożenić się z Laurą? Czy ten cudowny czas, jaki spędzili ze sobą, naprawdę nic nie znaczył?

Nie mogła tego zrozumieć. Słowa Silasa, wypowiedziane publicznie, musiały jednak być prawdą. Pewnie dlatego Jonas tak gorączkowo starał się o wyrok sądu. Śpieszyło mu się do realizacji planów matrymonialnych.

Będąc w szoku dowlokła się do sali komputerów po torebkę. Chciała tylko jednego: wyjść stąd i nigdy nie wrócić. Musiała przejść obok gabinetu Raynora Coxa. Ten przebiegły złośliwiec i plotkarz był jedynym mężczyzną w zespole, który jej nie znosił. Jak zwykle, Laura

była u niego. Courtney nigdy w życiu nie podsłuchiwała, ale przez uchylone drzwi do pokoju było słychać na korytarzu toczącą się tam rozmowę.

- Trzeba mu przyznać, że dzięki przyjaźni z tą kuszącą squaw może teraz robić z jej Indianami co tylko zechce. Opłaciło się namówić ich do procesowania się z rządem. Stańło na dwudziestu milionach dolarów. Jego honorarium powinno pokryć sporą część wydatków na kampanię wyborczą.

- Właśnie dzięki temu jest dobrym materiałem na gubernatora, Raynor!

- Kiedy bierzecie ślub? - spytał Raynor.

- Ustalimy po jego powrocie z Waszyngtonu. Silas mówi, że równocześnie Jonas zgłosi swą kandydaturę.

- Ale co z Courtney? Przecież nie poświęcił tego czasu tylko na wyduszanie z niej informacji.

- Nigdy nie była groźna. I nigdy, Raynor, nie będzie. Jonas powiada, że ona lada dzień dostanie stypendium i wyjedzie. Między nami mówiąc, Jonas martwi się, że sympatię, jaką do niej żywi, przyjęła za coś więcej. Zostaje w Waszyngtonie nieco dłużej, bo ma nadzieję, że ta mała zniknie z własnej woli. W ten sposób sprawa rozwiąże się sama.

- Z przyjemnością przejmę ją z jego rąk - mruknął Raynor.

Roześmieli się oboje.

Courtney nie mogła znieść tego i wybiegła z budynku. Wskoczyła do ciężarówki i jeździła nią bez żadnego celu przez wiele godzin.

Cały świat legł w gruzach, gdy odkryła, że Jonas nigdy jej nie kochał i posłużył się nią tylko po to, aby wykorzystać Miccosukee do

swych politycznych i finansowych celów. Postanowiła natychmiast zrezygnować z pracy i usunąć się z jego otoczenia.

Nagły podmuch wiatru zakołysał łodzią i przerwał bolesne myśli dziewczyny. Spojrzała na czarne, burzowe chmury. Zazwyczaj, bez względu na pogodę, z przyjemnością dryfowała w tym milczącym, prehistorycznym świecie bagiennych labiryntów i pagórków. Jednak Moczary podczas burzy mogą być dla turystów straszne. Musi skrócić wycieczkę.

- Ze względu na brak czasu - improwizowała - ominiemy wyspę, widoczną po lewej stronie. Przeplniemy tak blisko, że będziecie państwo mogli przyjrzeć się indiańskiej rodzinie, żyjącej niemal tak samo, jak w dziewiętnastym wieku, gdy jej przodkowie i ich kuzyni, Seminole, uniknęli przesiedlenia do Oklahomy.

- Proszę mnie sprostować, jeśli się mylę, ale program wycieczki przewiduje godzinne zwiedzanie wyspy - przerwał jej Jonas.

- Bezpieczeństwo zwiedzających jest dla Centrum sprawą najważniejszą. Jak widzimy, zbiera się na deszcz. Będzie państwu wygodniej oglądać to samo w muzeum - odpowiedziała rezolutnie i skierowała motorówkę w stronę głównej wsi.

W drodze powrotnej pasażerowie, w tym i sąsiedzi Jonasa, zarzucali ją pytaniami. Na krótką chwilę zatrzymała na nim spojrzenie. Pod względem fizycznym był doskonałością: ten znajomy orli profil, wyraziste rysy twarzy... Znacząca charyzma i siła jego osobowości urzekły ją od samego początku, nie pozwalały dostrzec ukrytego w nim egoizmu.

Ból był ciągle okrutny. Walcząc z nim skierowała całą energię na przycumowanie łodzi. Gdy zastanawiała się, jak uniknąć rozmowy z Jonaszem, coraz bardziej ogarniała ją panika. Wszystko w niej rwało się do ucieczki. Był bezwzględny, gdy czegoś chciał, a teraz chciał jej, bo uraziła jego dumę. Być może jej odejście sprawiło, że stała się dla niego bardziej pożądana. Wiedziała, że ją znajdzie, choćby miał jej szukać nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak długo.

Sprawnie zacumowała łódź i otworzyła barierkę. Z zawodowym uśmiechem zwróciła się do grupy:

- Dziękuję państwu, że byliście tak wdzięcznymi i wyrozumiałymi słuchaczami. Mam nadzieję, że powrócicie tu niedługo. W grudniu i styczniu odbędzie się festiwal sztuki indiańskiej, podczas którego przybędzie ponad czterdzieści szczepów na śpiewy, tańce i występy dla publiczności. Pamiętajcie, proszę, że możecie uratować Moczary, posyłając do redakcji gazet na Florydzie listy ze słowami podziwu dla jednego z największych cudów przyrody na świecie. Dziękuję państwu!

Poddała się obowiązkowej serii zdjęć, po czym pożegnała ze wszystkimi pasażerami, z wyjątkiem Jonasa, który stał oparty o balustradę i patrzył na nią. Serce skoczyło jej do gardła.

- To była wspaniała wycieczka - odezwał się, gdy zostali sami.

- Mimo twoich prób upokorzenia mnie? - zapytała gwałtownie.

Odwróciła się na pięcie, by odejść, ale ją zatrzymał.

- Nie masz już nic do roboty, więc porozmawiajmy. Może przy kolacji?

Zacisnęła zęby.

- Dlaczego mężczyźni przyjmują odrzucenie znacznie trudniej niż kobiety? A może duma Payne'ów nie pozwala im godzić się z odtrąceniem przez łatwowierną pół-Indiankę?

Nie czekając na ripostę, ruszyła w stronę kręcących się jeszcze turystów. Spodziewała się, że Jonas zatrzyma ją znowu, ale z zaskoczeniem i ulgą stwierdziła, że pozwolił jej odejść.

Był inteligentnym, a nawet błyskotliwym prawnikiem. Mógł wreszcie zrozumieć, że poznała prawdę i że żadne wyjaśnienia nic już nie zmieniają. Miała nadzieję, że tak właśnie będzie, lecz w piersiach palił ją ból, gdy naciskała pedał gazu swej półciągarówki i wskakiwała na autostradę nr 41, bardziej znaną jako Szlak Tamiami.

Gdzieś w głębi serca migotał wątły płomyk nadziei na to, że Jonas ją zatrzyma, bo ją kocha, i potrafi wszystko wytłumaczyć. Ależ była idiotką!

Ulewa tłukła w upstrzoną komarami szybę. Courtney jechała na zachód, ocierając co chwila łzy z policzków. W ciągu kilku minut strugi deszczu, niesione podmuchami wiatru, całkowicie zmyły komary. Było ciemno i ledwie zauważyła znak informujący, że Szlak przekroczył granicę Rezerwatu Czerwonych Drzew Mangrowych, ojczyzny kilkuset Indian Miccosukee.

Podjechała pod restaurację, wyłączyła silnik i nie chcąc przemoknąć do suchej nitki, biegiem dopadła drzwi. W środku była tylko Rosa.

- Cześć! - Courtney z udanym entuzjazmem pozdrowiła kobietę. - Jak interesy?

- A jak myślisz?! - odparła sucho Rosa, ale jej ciemne oczy zabłyśły. - Głodna?

Dziewczyna rozplotła warkocz i usiadła przy stole.

- Pewnie tak - odpowiedziała niejasno. - Ale proszę tylko o sałatkę i kawę.

Potarła skronie. Zaczynała się migrena. Po kilku chwilach Rosa postawiła przed nią jedzenie. Sałatce towarzyszył nieodłączny kawałek zapiekanego chleba z dyni. Rosa była dumna ze swego wypieku i Courtney posłusznie zjadła go, popijając gorącą, czarną kawę. Ciągle jednak myślała o Jonasie i wkrótce straciła resztki apetytu. Przyszłość była wypełniona mrokiem i samotnością bez nadziei.

Do restauracji wszedł Frank Bird, dwudziestosześcioletni rówieśnik Courtney, jeden z mechaników plemienia. Tak się składało, że pojawiał się natychmiast, gdy tylko przyjeżdżała do rezerwatu. Kiwnęła mu głową. Jego wygląd wskazywał na to, że ulewa nie ustawała.

Rozmyślała nad sałatką, nie widząc jej ani nie próbując. Nagle poczuła na karku mrowienie, jakby odebrała coś nieznanym zmysłem, jak wtedy, gdy krowa morska sunęła za jej czołnem na zagubionym szlaku przy Szablistym Przylądku. Płynęła pod powierzchnią, ale Courtney wiedziała, że jej nie odstępuje na krok.

Odłożyła widelec i obejrzała się. Napotkała wpatrzona w nią oczy Jonasa. Powinien już być w Miami. Dlaczego ciągnął ten dramat do samego, beznadziejnego końca?! Na szczęście okrucieństwo nie leżało w jego naturze. Prawdę mówiąc, nie znała prawdziwej natury Jonasa.

Z trudem przełknęła ślinę. Był taki przystojny! Gdyby nie przyklejona do szerokich ramion i klatki piersiowej koszula, byłby

zadziwiająco podobny do Osceoli, pięknego wojownika z minionej epoki, który śnił się jej od dzieciństwa. Za każdym razem, gdy patrzyła na wchodzącego do biura Jonasa, uderzało ją to fizyczne podobieństwo: jego budowa, brązowa skóra, rysy twarzy... Jak Osceola, miał w sobie godność i siłę naturalnego przywódcy. Lecz Osceola był księciem, ognistym, dumnym, odważnym i kochanym. Nie był zdrajcą.

Nie miała wyjścia, musiała zmierzyć się z wrogiem. Może atak okaże się najlepszą obroną...

- Siądź tutaj, proszę! - odezwała się opanowanym głosem.

Miccosukee byli nieśmiałymi ludźmi, zawsze jednak odnosili się uprzejmie do gości. Nie mogła postąpić inaczej, zwłaszcza że zrobienie sceny dostarczyłoby ludziom tematu do plotek.

Cieszę się, że zabrałaś mnie na kolację - mruknij! i przyciągnął sobie krzesło. Przyglądził brązową dłońią czarne, mokre od deszczu włosy i uśmiechnął się do Rosy, która podała mu kawę i przyjęła zamówienie.

Courtney zauważyła, że stara kobieta i prawnik zachowują się jak przyjaciele. Indianka roześmiała się dobrodusznie z jego żartu i wróciła za ladę. Musiał być naprawdę niebezpieczny, jeśli potrafił oczarować samą Rosę.

- Jesteś zachlapany błotem - zwróciła uwagę Courtney.

Spojrzał na mokrą, poplamioną koszulę i buty.

- Kilku centymetrów brakowało, żebym wpakował się na ciężarówkę, podobną do twojej, która wpadła w poślizg na autostradzie. Pomogłem kierowcy wydostać się z rowu.

Ledwo uszedł z życiem! - zdenerwowała się, ale zdołała zapanować nad głosem.

- Na zapleczu kuchni jest zlew, gdzie możesz się oczyścić. Rosa się zgodzi. W tym czasie spróbuję znaleźć ci jakąś suchą odzież.

- Cóż za wzruszająca troska! - Złość wykrzywiła rysy jego przystojnej twarzy. Przez chwilę pił kawę. - Tak się jednak składa, że nigdzie się stąd nie ruszę. Niech ci się nie zdaje, że mi się wymkniesz. Nie możesz cały czas uciekać przede mną.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Rosa podała mu obiad z dodatkowym kawałkiem pieczywa i jeszcze jednym kubkiem gorącej kawy. Jadł i pił z widocznym apetytem. Najwyraźniej nie przejmował się przerwą w rozmowie. Courtney zastanawiała się, czy jego milczenie nie jest ciszą przed burzą. Napięcie w niej rosło. Nie mogła zrozumieć powodów, dla których ciągnął ten martwy związek i nie chciany romans.

Może jeszcze czegoś od niej potrzebował, choćby tylko zapewnienia, że mu pomoże w zrozumieniu życia Miccosukee i będzie jego tłumaczką. To już nie ma znaczenia. Nie zniesie niczego więcej. Chciała wstać od stołu, lecz jego silna ręka przykryła jej dłonie i uniemożliwiła odejście.

- Nie rób tego - odezwał się niebezpiecznie łagodnym głosem. - Ja jeszcze nie zacząłem.

Uścisk jego palców był zdecydowany. Usiadła. Rzuciła szybkie spojrzenie na niemal pełną restaurację. Zajęta Jonaszem nie zauważyła przychodzących klientów, w większości znajomych.

- Puść moją rękę - wyszeptała nagłaco. - Ludzie patrzą.

- Niech patrzą - powiedział zbieleiałymi wargami. - Chcę poznać prawdę. I to zaraz.

- Jonas! - rzekła łamiącym się głosem. - Nie możemy tutaj rozmawiać.

- Zgadzą się. Taką rozmowę, o jakiej myślę, możemy przeprowadzić w moim samochodzie albo u ciebie.

Courtney dyszała ciężko, jakby po długim biegu. Wbrew wszystkim próbom uniknięcia ostatecznej konfrontacji, Jonas zwyciężył.

- Twój wóz za bardzo się rzuca w oczy. - Nie dodała już, że jest także zbyt ciasny, zbyt... intymny.

Przenikliwe oczy Jonasa badały jej twarz.

- A więc u ciebie. Chodźmy!

Niechętnie puścił jej rękę, wyciągnął z portfela dwudziestodolarowy banknot i położył go na stole. Pochwalił obiad, a Rosa wdzięczyła się do niego.

Gdy wstawali od stołu, raz jeszcze poczuła na sobie wzrok Franka. Rosa mówiła, że się nią interesuje. A może to prawda? Znała go od dzieciństwa, nie mogła jednak żywić do niego ani do innego mężczyzny żadnego uczucia. Kochała tylko Jonasa.

Nie sprzeciwiła się, gdy poczuła jego zaborczą rękę, prowadzącą ją ku drzwiom restauracji. Lepiej, żeby Frank myślał, że ma już kogoś. Rosa nakazywała jej być miłą dla chłopaka i nie skrzywdzić go. Musiała jednak zapłacić sporą cenę za to drobne oszustwo. Jej skóra zdawała się płonąć od krótkiego zetknięcia z dłonią Jonasa. Poczuli się upokorzona. Mimo zdrady, która zadała jej tyle cierpień, ciągle reagowała na jego bliskość.

Odsunęła się, gdy tylko wyszli z restauracji. Chciała się znaleźć jak najdalej od niego.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Nad Moczarami zapadł wieczór. Niedawna ulewa przeszła teraz w drobniutką mżawkę.

- Mój bungalow stoi przy tej ulicy. - Szła szybko, starając się uniknąć zarówno kałuży, jak i pomocy Jonasa.

Jego czarne ferrari, zaparkowane przed restauracją obok bogatego zestawu wiekowych aut i ciężarówek, wydawało się nie na miejscu. Jonas wyciągał nogi, aby dotrzymać jej kroku. Po chwili doszli do grupy cementowych budynków.

- Jesteśmy! - powiedziała. Pchnęła nie zamknięte na klucz drzwi i włączyła światło. Niewielki salonik wydał się jeszcze mniejszy, gdy stanął w nim Jonas. Courtney szybko ogarnęła wzrokiem pseudoduńskie meble, starając się spojrzeć na nie jego oczami. Dla właściciela pięknej posiadłości na La Gorse Island ten widok musiał być zabawny. Zwłaszcza że inni wykorzystywali jej mieszkanie na magazyn koszyczków i lalek, które później sprzedawali w Centrum.

- Gdzie są twoje rzeczy? - zapytał cicho. W okresie ich znajomości tylko parę razy był w jej mieszkaniu w Miami, większość bowiem czasu spędzali na jachcie Payne'ów, krążąc wokół Florida Keys.

- Chwilowo w przechowalni. To mieszkanie wynajęłam już umeblowane. Wiem, że nie jesteś do czegoś takiego przyzwyczajony, ale to jest teraz mój dom. Siadaj, a ja zrobię drinka.

- Od kiedy to czujesz potrzebę tłumaczenia się przede mną? - spytał, patrząc na nią ponuro.

- Czy to robię? - Ustawiała wentylatorek tak, żeby dmuchał na kanapę. - Wieczorem, gdy wracam, to mieszkanie przypomina piec hutniczy. Mogę cię poczęstować tylko korzennym piwem.

Przerzuciła ciężki warkocz na piersi.

- Niech będzie piwo - odezwał się po chwili. Sięgnął po szklanke, którą Courtney postawiła przed nim na stole. Pijąc obserwował każdy ruch dziewczyny. Poszła do sypialni, skąd przyniosła męską koszulę.

- Masz! Przebierz się. Odziedziczyłam ją po ojcu, gdy wyjechał do Zairu. Łazienka jest na końcu korytarza.

Jego zielone oczy błyszczały, gdy stał i rozpiął koszulę.

- Zmienię ją tutaj, jeśli wolno. Jesteś ulotną istotą, panno Courtney Blake. Szczerze mówiąc, nie mam nastroju do żartów i sztuczek ze znikaniem.

Zrzucił przemoczoną, zabłoconą szmatę i założył białą, bawełnianą koszulę, która uwydatniła jego brązową karnację.

Widok szerokiego torsu przypominał jej, jak ostatni raz była w tych ramionach, wtulona w niego, nie mogąc odróżnić bicia jego serca od swego.

Wyczytał coś w jej twarzy, bo szepnął jej imię i głęboko westchnął. Dziewczyna, widząc błysk pożądania w jego oczach, szybko zanosła do kuchni zabłoconą koszulę. Musiała uwolnić się od pragnień, które budziła jego bliskość. Zająła się praniem. Będąc z dala od niego, widziała wszystko jasno, teraz jednak nie mogła odegnąć wspomnień, jego powolnych, delikatnych pieszczot.

Może, gdyby oddała mu się od razu, ogień w jej ciele nie płonąłby tak gwałtownie. Żaden inny mężczyzna nie działał na nią tak, jak Jonas.

Nikt nigdy nie potrafił doprowadzić jej do stanu, w którym była już tylko czystym pragnieniem, które jedynie on mógł zaspokoić. Jednak tradycyjne zasady, wpojone przez matkę, powstrzymywały ją przed oddaniem się mężczyźnie, który nie jest jej mężem.

Człowiek, którego w przyszłości poślubi, będzie musiał budzić w niej te same uczucia. Wątpiła jednak, czy istnieje drugi taki mężczyzna. Najbardziej przerażało ją to, że do końca życia porównywać będzie każdego z Jonasem. Nikomu nie potrafi już oddać serca tak bezgranicznie, jak jemu.

- Courtney! - Drgnęła usłyszawszy swe imię. Smukła postać mężczyzny opierała się o futrynę drzwi. - Skończ z tymi głupstwami i chodź do pokoju. Musimy porozmawiać. Chyba już zrozumiałaś, że nie odejdę.

Drżały jej ręce, gdy wykręcała koszulę i wieszła na krześle.

- Nigdy nie rezygnujesz, prawda? Niestety, nie jest to zbyt pociągająca cecha.

- To samo można powiedzieć o twojej złośliwości - warknął. - Zostaw tę koszulę. Mam gospodynię, nie pamiętasz?

Jakże mogłaby zapomnieć o apartamentach i posiadłościach w różnych częściach świata?! Nie brakowało mu niczego. Podejrzewała, że niczego nie potrzebował też od niej, żadnej pomocy w sprawach plemienia... Czego więc chciał?! Czyżby naprawdę myślał, że będzie spotykać się z nim po ślubie z Laurą tylko dlatego, że tak bardzo pociągają się seksualnie?

- A czy ty pamiętasz, że jesteś związany z Laurą? - wybuchnęła.

Kurczowo zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. Jego ciemne czoło zasepiło się.

- Jesteśmy partnerami w firmie. Czy ona nazwała cię mieszańcem? Czy o to ci chodzi?

Courtney głęboko wciągnęła powietrze.

- Nazywano mnie już różnie. Potrafię to ścierpieć. Nie znoszę natomiast, jeśli robi się ze mnie idiotkę. Jak długo miałeś zamiar mnie oszukiwać?

- Do diabła, nie wiem o czym mówisz! - zagrzemiał.

- Przestań mnie okłamywać! Wiem wszystko o tobie i Laurze. Całe biuro wie. - Jej dłonie zacisnęły się w pięści.

- O czym wie? Dokończ! Oświeć mnie!

- Jak możesz udawać, że nie rozumiesz, o czym mówię, po tym, jak ojciec przed całym zespołem ogłosił twoje plany małżeńskie?!

W słabo oświetlonej kuchni twarz Jonasa wydawała się być popielata.

- Kiedy to się stało?

- Wieczorem, gdy wygrałeś sprawę, Silas zaprosił wszystkich na uroczysty toast dla uczczenia twego zwycięstwa w sprawie o dwadzieścia milionów dolarów. Usłyszałam, jak Laura powiedziała Raynorowi, że zaczynacie przygotowania do ślubu zaraz po twoim powrocie z Waszyngtonu.

Panujące milczenie nie miało końca.

- I uwierzyłaś im? Mimo tego wszystkiego, co zrodziło się między nami? - zapytał. Jego głos był spokojny. Tylko napięte mięśnie szyi zdradzały wściekłość.

Courtney szeroko otworzyła oczy.

- Czy chcesz, abym uwierzyła, że twój ojciec i Laura okłamali cały ten tłum? Najbliższych współpracowników?

- Nie chcę, żebyś wierzyła. Mówię ci tylko jasno, że to, co wówczas słyszałaś, jest czystym wymysłem.

Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Wiem, że istnieje rozdźwięk między tobą a ojcem, ale nie miałam pojęcia, że jest aż tak głęboki.

- Czemu go bronisz? Gdzie się podziała ta ciepła, kochająca kobieta, którą trzymałem w ramionach dwa tygodnie temu? Mogłem przysiąc, że wierzy we mnie.

Courtney zmieszała się, słysząc wypowiedziane z takim żarem słowa, które przywołały całą falę wspomnień. Pobieгла do pokoju, aby znaleźć się nieco dalej od niego. Kilka sekund później w drzwiach stanął Jonas. Twarz miał ponurą i nieustępliwą. Szum wentylatora podkreślał rosnące między nimi napięcie.

- A więc oboje żyliśmy w krainie baśni! - Jego głos brzmiał jakby z oddali.

- Czemu udawałeś, że mnie kochasz? - krzyknęła z bólem. - Czy znajdowałeś przyjemność w upokarzaniu mnie? Dałabym ci to, czego potrzebowałeś. Wystarczyłoby tylko poprosić.

Jego usta zacisnęły się w cienką, białą, złą linię.

- Powiedz mi więc łaskawie, czego od ciebie chciałem, jeśli cię nie kochałem?

- Chciałeś pozyskać szczep, więc raczyłeś spotykać się ze mną, żeby zdobyć informacje z pierwszej ręki o życiu Miccosukee. I miałeś

nadzieję, że jako mój narzeczonny zdobędziesz, jak nikt inny, dostęp do starszyny plemiennej i staniesz się w ich oczach wiarygodny.

Gwałtownie nabrał powietrza do płuc.

- A to fascynująca historia! Prawdą jest jednak, że wódz Bob Willie nie pochwała twojego sposobu życia. Przypominasz mu syna, który kilka lat temu opuścił rezerwat i odszedł do świata białych. Szef jest tradycjonalistą. Jeśli już, to tylko przez ciebie straciłem w jego oczach.

Twarz Courtney mieniła się kilkoma odcieniami czerwieni, nim straciła cały koloryt. Trafność tego ataku dosłownie pozbawiła ją tchu. Zdawała sobie sprawę z uczuć wodza. Nie różnił się pod tym względem od Rosy. Zaskoczył ją natomiast fakt, że Jonas był w to wtajemniczony. Poczwała, że grunt usuwa się spod jej stóp.

- Czy podczas naszego związku poprosiłem cię choć raz o interwencję u wodza? - zapytał i zrobił krok w jej stronę.

- Nie - odparła. Nie mogła znieść jego wzroku. - Najwyraźniej wykorzystujesz swój przemożny wpływ w inny sposób - ciągnęła z jadowitym sarkazmem. - Odwołałeś się do jego dumy. Gratuluję ci tak subtelnego i wprawnego manipulowania człowiekiem, że nie miał najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi.

Po tym wybuchu zapanowała cisza. Minęła dłuższa chwila, zanim Jonas odezwał się:

- A o co mi chodzi?

- Wiesz bardzo dobrze, że mówimy o pieniądzach. O wielkich pieniądzach.

- Jestem bogatym człowiekiem, Courtney! Przyjmijmy jednak na chwilę, że chcę mieć jeszcze więcej. Wyjaśnij, co miałbym z manipulowania wodzem jednego z najuboższych plemion w Ameryce Północnej.

- Czy możesz zaprzeczyć, że badałeś ten stary układ i szukałeś w nim luk po to, aby wnieść sprawę do sądu?

- Znasz już odpowiedź. Mówiliśmy o tym.

- Ale starszyzna nie rozumiała ich konsekwencji, dopóki jej tego nie uświadomiłeś, prawda?

-Tak.

- A więc namówiłeś Boba Willie'ego i innych do pozwania rządu, bo wiedziałeś, że zwycięstwo oznacza ogromne odszkodowanie?

- Tak jest. Zostaną im zwrócone ich dawne tereny. Otrzymają też odszkodowanie pieniężne.

- Ty zaś, rzecz jasna, nie otrzymasz z tego ani centa.

- Tego nie powiedziałem. W rzeczy samej zatrzymam znaczną sumę na... przedsięwzięcie, nad którym pracuję.

Ciasna obręcz wokół piersi nie pozwalała jej oddychać.

- Wiemy oboje, co to za przedsięwzięcie. Niczym się nie różnisz od tych adwokatów, którzy w przeszłości wykorzystywali Indian i kasowali większą część odszkodowania. Nic ich nie obchodziły potrzeby szczepu.

- Uważaj, co mówisz, Courtney! Wbrew temu, co niektórzy sądzą, indiańska krew nie czyni z ciebie jasnowidza. Nie znasz moich motywów.

W jego głosie brzmiała groźba. I - co gorsza - wzgarda.

Przestraszona Courtney cofnęła się za krzesło.

- Jonas! - Podniosła rękę do gardła. - Proszę cię, idź już...

- Mój Boże! - mruknął. - Jak ja mogłem wierzyć, że w przyszłości będziemy razem.

Było tyle nienawiści w jego głosie, że dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem.

- Ja... Ja robiłam, co mogłam, żeby nie doszło do tej rozmowy, ale ty...

- Nie waż się od tej pory niczego więcej przypuszczać na mój temat! - Podszedł do niej. Jego zielone oczy miały błyskawice. Były oceanem gniewu. Skurczyła się w sobie. - Świetnie mnie podsumowałaś!

Cofnęła się o krok, lecz jego ręka złapała ją w nadgarstku i unieruchomiła.

- A z ciekawości... - syknął. - Powiedz mi o tym niegodziwym przedsięwzięciu, nad którym pracuję.

- Nie zmuszaj mnie do tego! - Jej ciałem wstrząsały dreszcze. On jednak nie słuchał.

- Powiedz! - Ścisnął jeszcze mocniej jej rękę.

- Finansowanie kampanii. Usta wykrzywił mu zły grymas.

- Bez względu na to, co ci powiedział ojciec, ja nie ubiegam się o żaden urząd. Myślałem o tym kiedyś, dawno temu. Sprawy drastycznie zmieniły się od czasów, w których mieliśmy z ojcem zgodne poglądy na moją przyszłość.

Dziewczyna chwiała się. Gdyby nie jego ręka, osunęłaby się na podłogę.

- Czemu ten człowiek ma taki wpływ na ciebie?! Dlaczego nie miałaś ani odwagi, ani szacunku dla mnie, żeby powiedzieć, co cię tak strasznie zraniło? Przecież ważyły się losy całego naszego związku. A ty uciekłaś.

Ledwo panował nad sobą.

- Dobrze wiedziałaś, że miłość, która zrodziła się między nami, zdarza się tylko raz w życiu. Aby ją umocnić, twoim obowiązkiem wobec mnie, wobec naszego szczęścia był choćby telefon do mnie. Moglibyśmy sobie wszystko wyjaśnić.

Zdawało jej się, że w ciemnych głębiach jego oczu błysnął ból. Choć może było to tylko złudzenie. Niespodziewanie puścił jej ramię.

- Dałabym wszystko, by móc ci uwierzyć! - wyszeptała cicho.

Spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- Okazało się, że nie jesteś kobietą dla mnie. Możesz być jedną z najpiękniejszych istot, jakie Bóg kiedykolwiek stworzył, ale w środku masz tylko lód. Nie potrafisz zaufać. Jesteś lodowata do szpiku kości. Jak mogłem w ogóle myśleć, że potrafię to stopić?!

Przeszedł przez pokój kilkoma zdecydowanymi krokami i zniknął za drzwiami, zanim zdążyła go zawołać.

Mijały godziny, a ona płakała, wycierając łzy poduszką. Scena w pokoju osiągnęła to, czego nie mogły sprawić żadne uniki. On odszedł na dobre. Ból był tak okrutny, że myślała, iż umrze.

W środku nocy musiała zasnąć, bo śnił jej się Jonas, w skórach Osceoli, w zawoju na głowie i kurtce z epoletami bohatera swego ludu.

Uśmiechał się do wszystkich, tylko nie do niej. Obudziła się na mokrej poduszce, przybita tym, że zarówno na jawie jak i we śnie będzie ją prześladował.

Zatęskniła za matką i ukojeniem, które u niej znajdowała. Wstała z łóżka i podeszła do szafy, gdzie przechowywała zdjęcia rodziców wraz z małą płaskorzeźbą Osceoli, którą matka tak bardzo lubiła. Gdy wspominała los kobiety rozdieranej przez dwie kultury, na zalanej łzami twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zadumy.

Tradycja nie pozwala Indianom Miccosukee mówić o pociągu fizycznym. Jeśli kobieta umie gotować, a mężczyzna jest dobrym myśliwym, to są udanym małżeństwem. Matka Courtney pokochała jednak i poślubiła Thomasa Blake'a z wielu innych powodów i dla innych zalet. Courtney przeniosła wzrok na jego zdjęcie. Ten ciężko pracujący inżynier był kochającym ojcem. Był jak córka biały, niebieskooki i miał kasztanowe włosy.

Zawsze uważała, że matkę zafascynowała jego amerykańska uroda, witalność i niezwykła osobowość. Courtney odwróciła się z głębokim westchnieniem. Rodzice tak bardzo różnili się od siebie! Byli wprost przeciwstawnymi charakterami. I to ich pociągnęło ku sobie. Jaka matka taka córka? Lecz tak wiele miała wspólnego z Jonaszem, różnice zaś jedynie wzmagają uczucie, nie zagrażały mu... Może tak jej się tylko wydawało...

Nie rozumiała, dlaczego Jonas ją okłamywał i dlaczego między nim a ojcem panowała wrogość. Oddany rodzic, jakim był Silas, nie zachowywałby się w ten sposób, nie znając prawdy. Od pierwszego dnia

pracy, Courtney była świadoma uczuć Silasa do jedyne go syna. Jonas był dla niego wszystkim.

Silas przypominał jej trochę własnego ojca. Thomas Blake nie widzi poza nią świata, prawdopodobnie dlatego, że jest jego jedynym dzieckiem. Popiera ją we wszystkim, zapewniając, że każde marzenie się spełni, jeśli mocno tego zapragnie.

Czuła, że Silas jest tym samym typem ojca, człowiekiem, który chce jak najlepiej dla syna. Podzielała dumę, jaką promieniał z powodu sukcesu Jonasa.

Musiła przyznać, choć bolało ją to bardzo, że rozumie, dlaczego Silas chce mieć Laurę za synową. Zaborcza, ambitna, wychowana do publicznego życia, Laura uzupełniałaby Jonasa nieporównanie lepiej niż Courtney. Byłaby doskonałą towarzyszką mężczyzny, działającego w blasku jupiterów.

Jeszcze dobitniej potwierdził to rano po uroczystości, kiedy weszła do gabinetu Silasa, by poinformować go o swym odejściu. Ciągle pamięta rozmowę telefoniczną szefa z Markiem Tolmanem, jednym ze swych przyjaciół i klientów.

- Masz rację, Mark! - mówił Silas. - Jonas przez jakiś czas musiał wywiązywać się ze swych zobowiązań i szarpać się ze sprawami dość, powiedzmy, delikatnej natury. Teraz zaś, gdy jedna z jego wielkich spraw jest już zakończona, myśli z Laurą o przyszłości. Wszystko układa się tak, że może przedłożyć partii swą kandydaturę.

Uśmiechnął się do Courtney - jak Jonas - szeroko, odsłaniając zęby. Dał jej znać, że ma czekać, bo zaraz kończy.

- I tu zaczyna się twoja rola, Mark! Ale powiem ci o wszystkim wieczorem, gdy przyjdiesz na obiad. Blanche zapowiada, że podamy koktajle o siódmej.

Ta rozmowa dźwięczała jak dzwon pogrzebowy w jej sercu. Powracała co chwila, zmuszając ją do cierpienia w milczeniu, dopóki nie odeszła z firmy na dobre.

Wdzięczna, że ranek w końcu nadszedł, Courtney wzięła prysznic, ubrała się w świeże dzinsy i bluzkę. Powiesiła koszulę Jonasa w szafie, żeby go jej nie przypominała, i poszła po kanoe, które kilka lat temu wydlubał dla niej wujek. Leżało w szopie za restauracją Rosy.

Chciała odwiedzić babcię, która mieszka na Moczarach. Od śmierci matki przed trzema laty nie odwiedzała krewnych tak często, jak by tego chciała.

Zbyt wiele czasu zabierały jej studia. Badania w Oklahomie potrwać jeszcze rok, może półtora. Język Muskogee, którym mówią Seminole w Oklahomie, jest pokrewnym narzeczem Miccosukee. Planowała przeprowadzenie w najbliższej przyszłości studiów porównawczych obu dialektów. Jej promotor, doktor Egli, poinformował ją, że po zakończeniu badań otrzyma propozycję pracy na wydziale antropologii. Courtney nie mogła więc wyjechać do Oklahomy bez pożegnania z krewnymi. Kto wie, kiedy znowu będzie mogła ich zobaczyć?

Myśl o spotkaniu złagodziła nieco ból przeszywający jej serce. Chciała znaleźć się przy babce, bowiem zbliżało ją to trochę do matki. Poza tym ta prawie dziewięćdziesięcioletnia matrona była chodzącą encyklopedią i skarbnicą wspomnień o mało znanym i szybko

znikającym świecie. Courtney chciała nagrać jej opowieści dla plemienia i dla siebie.

Nie mogła usiedzieć w domu. Fizyczny wysiłek powinien uśmierzyć cierpienie. U babci będzie miała dość zajęć na cały dzień: trzeba pomóc w pracy, pobawić się z dziećmi, porozmawiać ze staruszką. Może przestaną ją prześladować myśli o zdradzie Jonasa. Najgorsze jednak będą noce.

Ukryła zapuchnięte oczy za ciemnymi okularami. Miała nadzieję, że przed barem nie spotka nikogo, kto zauważy jej niezwykłą bladość. Na samą myśl o jedzeniu poczuła mdłości. Nie chciała więc zaglądać do Rosy. Jak na złość wódz, Bob Willie, czekał na nią przy ciężarówce/ciągle zaparkowanej przed restauracją.

Gdy obeszła wóz, by wspiać się na fotel kierowcy, zauważyła Jonasa. Stał oparty o drzwi zabłoconej ciężarówce ze znakami Biura do Spraw Indian, która parkowała obok jej wozu. Co się stało?

Zdjęła okulary i popatrzyła pytająco na obu mężczyzn. Zatrzymała przez chwilę wzrok na Jonasie, który w spodniach koloru khaki i koszuli typu safari wyglądał niezwykle męsko. Na jego twarzy malowała się całkowita obcość.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Boba, który kiwnął głową.

- Dzień dobry, Bob! - powiedziała.

- Nie pojechałabyś z nami do miasta? Pracowałaś u Jonasa, więc może tłumaczyłabyś jego rozmowę z Tommie'em. Chłopak potrzebuje pomocy.

Wzięła głęboki oddech. Starła się uniknąć bezlitosnego wzroku Jonasa. Tommie jest najstarszym synem Boba. Słyszała już, że ma kłopoty.

- Jest w Miami?

- Właśnie. Jonas przeprowadził dochodzenie w tej sprawie.

Potrząsnęła głową, jakby chcąc rozjaśnić myśli.

- Nie rozumiem. Dlaczego Jonas? To przecież nie ma nic wspólnego z prawami do gruntów.

Kamienna twarz Boba nie zdradzała żadnych uczuć.

- Rosa musiała się mylić. Pewnie widziała kogoś innego, a nie Jonasa, jak wchodził do twego domu. To jedyne wyjaśnienie. W przeciwnym wypadku wiedziałabyś, że Jonas Payne został nowym super-intendentem Rezerwatu Czerwonych Drzew Mangrowych.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Co?! - Chyba się przesłyszała. Przeniosła wzrok na Jonasa.

- Nie dziwi mnie, że uważasz ten pomysł za śmieszny - odezwał się głosem pełnym rezerwy, najwyraźniej zadowolony z jej zmieszania.

Odgarnęła z czoła kilka kosmyków ciemnokasztanowych włosów.

- Nie rozumiem. W jaki sposób zostałeś superintendentem? - Na moment Bob zszedł na dalszy plan.

- A jak się nim zostaje? - zapytał z ironią.

- Jest to stanowisko, na które awansuje się Indian po latach ciężkiej pracy.

- Nie zawsze! - poprawił ją. - W moim przypadku nominację otrzymałem na podstawie wyboru, jakiego dokonała rada plemienna. Czasem to się zdarza, nawet białemu.

Courtney spojrzała na Boba, szukając u niego potwierdzenia słów Jonasa. Wódz uśmiechnął się.

- To prawda. Zwróciliśmy się do niego ponad rok temu. Pan Payne świetnie poprowadził negocjacje w sprawie naszych terenów, więc szczerp jednogłośnie domagał się, żeby on nadzorował sprawy rezerwatu. Musiał się wiele przez ten czas nauczyć.

Nic dziwnego, że przywłaszczył sobie każdą jej wolną chwilę! Ledwie mogła oddychać.

- Kiedy to się stało?

Jonas przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej napiętą twarz.

- Otrzymałem nominację podczas pobytu w Waszyngtonie.

Courtney nie mogła dojść do siebie po tych rewelacjach. Wybór białego człowieka był tak rzadkim wydarzeniem, że nie pamiętała, kiedy ostatni raz miało ono miejsce. Chyba gdzieś na początku wieku trafił się jeden, dość szczególny biały „agent”, jak nazywano wówczas superintendentów. Ta dożywotnia funkcja polegała na koordynowaniu i wdrażaniu polityki rządu federalnego na terenie rezerwatu.

Rodzina Payne'ów miała przyjaciół na najwyższych szczeblach, ale nawet oni nie mogliby załatwić tej nominacji dla Jonasa, bez stuprocentowego poparcia Indian. Courtney nie rozumiała, jak do tego doszło.

Czy wszyscy byli ślepi i nie widzieli, że ich wykorzystuje? Nie ma przecież najmniejszego zamiaru spędzić reszty życia w Rezerwacie Czerwonych Drzew! To jedynie sprytny, karierowiczowski manewr, część strategii pozyskiwania wyborców. A jak planuje pogodzić tę pracę z ogromem obowiązków w firmie? Kto dysponuje takim doświadczeniem i inteligencją, żeby pociągnąć jego sprawy?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj? Wyprostował swą imponującą postać.

- To już nie ma żadnego znaczenia.

Byłaby mniej zaszokowana, gdyby ją uderzył. Czy w ogóle zamierzał podzielić się z nią tą wiadomością? Nie zdradził się ani jednym słowem przez wszystkie miesiące, które spędzili razem. Ani razu nie wspomniał o swych planach czy ambicjach. Cóż za aktorstwo! Sięgnięcie po fotel gubernatora to już tylko kwestia czasu. W świetle tej nominacji wczorajsze protesty - „nie interesuje mnie kariera polityczna” - wprost śmieszły. Zdobycie superintendentury było najwyraźniej

jednym z tych „delikatnych” przedsięwzięć, o których mówił Silas. Jonas wszedł na drogę wiodącą na szczyt. Nie miało znaczenia, że sprawy Indian nie obchodzą go ani trochę.

Courtney zaczynała pojmować, że wygranie procesu o stare tereny stanowi tylko część znacznie większego planu. Powinna zrozumieć to wcześniej.

Przerzuciła przez ramię lśniący warkocz.

- Superintendent powinien być dzień i noc gotów do załatwiania spraw rezerwatu. Jak chcesz pogodzić te obowiązki z kierowaniem firmą?

- Gdybyś nie wypowiedziała pracy, znalazłabyś już odpowiedź.

Zostawiłem firmę.

- Na jak długo? - Spytała tak, by głos jej nie drżał.

- Na dobre.

Była oszołomiona tymi sensacjami.

- Ale twoi klienci...

- Zostali przekazani w dobre ręce. W przeciwieństwie do ciebie ja nie uciekam i nie zostawiam niczego na łasce losu.

- Tylko mi nie mów, że zamieszkas w rezerwacie.

- Chciałbym móc tak powiedzieć, choćby tylko po to, by zobaczyć twoją minę. Planuję jednak mieszkać w domu i cieszyć się wszelkimi dobrodziejstwami cywilizacji. W nagłych wypadkach skorzystam ze śmigłowca. Czy masz jeszcze jakieś niecierpiące zwłoki pytania, czy też możemy skoncentrować się na kłopotach Tommie'ego?

Jonas z upodobaniem stawiał ją w niekorzystnej sytuacji, zwłaszcza wobec Boba, który nie pochwalał jej życia w mieście. Nigdy

jednak świadomie nie pozwoliłaby sobie na niegrzeczność wobec wodza. Na swój sposób troszczył się o nią.

- Bob! - zwróciła się do Indianina. - Uważasz, że jestem potrzebna?

- Tommie ci ufa, a Jonas uważa, że dwujęzyczny tłumacz pomoże wszystkim się porozumieć.

Już miała powiedzieć, że jest antropologiem, nie tłumaczką, ale ugryzła się w język. Lubiła zarówno wodzu, jak i jego syna. Byli przyjaciółmi rodziny. Z Jonasem sprawa wyglądała inaczej.

Czy Biuro nie zapewnia tłumaczy w razie potrzeby?

Oczywiście! Wiesz o tym dobrze. Ale miałem już kilka rozmów z chłopakiem. Woli ciebie, bo uważa cię za przyjaciela i za kogoś, kto czuje się swobodnie w obu światach. - Patrzył na nią poważnymi oczami, aż ciepły dreszcz przebiegł po jej karku. Jonas wychodził zwycięsko z każdego pojedynku.

- Nie sędzę, żeby moje usługi były konieczne. Tommie mówi przecież po angielsku. - Wiedziała jednak, że chłopak jest nieśmiały, zażenowany wobec obcych i skłonny do odpowiadania monosylabami.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. W końcu przerwał je Jonas.

- Brak wzajemnego zrozumienia zawsze był przyczyną nieufności między Biurem a szczepem. Ale jeśli nie chcesz pomóc, to powiedz!

Uwaga prawnika o braku zrozumienia była nie tylko trafna, ale i sprytna. Tylko ktoś wyjątkowo małostkowy odmówiłby pomocy w takiej sytuacji.

- A co takiego Tommie zrobił?

- Jest oskarżony o zabicie pumy na terenie parku.

- Tommie tego nie zrobił! - Gwałtownie potrząsnęła głową. Był najbardziej delikatnym, najgrzeczniejszym i najbardziej szanującym przyrodę synem wodza. Nigdy nie wybierał się daleko poza rezerwat. Lepiej niż kto inny wiedział, że puma należy do gatunków zagrożonych i że zabicie jej jest naruszeniem prawa, za które grozi surowa kara.

- Przynajmniej coś niecoś mi już powiedziałaś - rzekł cierpko Jonas i spojrzał na zegarek. - Musimy się śpieszyć, jeśli jeszcze dzisiaj mamy ruszyć tę sprawę. Jedziesz czy nie?

Bob odezwał się w języku Miccosukee:

- Rosa miała jednak rację. Między tobą i Jonaszem strzelają iskry. Jesteś taka sama jak twoja matka.

Powiedział te słowa pewnie bez złych zamiarów, ale - zdaniem Courtney - posunął się za daleko.

- Chcesz, żebym pomogła Tommie'emu? - spytała w tym samym języku.

- Jasne!

- Więc racz mówić tylko o chłopcu.

- W porządku! W porządku! - zgodził się. - Ruszamy! - rzekł po angielsku.

Jechali ciężarówką Jonasa. Droga wiodła przez bagna, łąki i wzgórza porośnięte karłowatymi palmami. Courtney ciągle czuła ciepło ręki Jonasa, tam, gdzie niby przypadkiem, podczas wsiadania, dotknął jej uda. Wyjrzała przez okno, jednak krajobraz nie robił na niej wrażenia. Pochłaniały ją myśli o ponownym wtargnięciu Jonasa w jej życie. Ten imponujący nowy tytuł wprowadził go w jej świat. Tego nie wyobrażała sobie w najśmielszych marzeniach. Jeszcze wczoraj

uważała, że traci go z oczu na zawsze. Teraz, nie do wiary, jechała z nim w sprawach służbowych do Miami. Jednak nigdy jeszcze nie byli tak daleko od siebie.

Wczorajsza okrutna scena nie pozostawiła na Jonasie najmniejszego śladu, jemu zaś wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, ile ją to kosztowało.

Dla dobra Tommie'ego musiała wziąć się w garść. Jej ból był jednak tak obezwładniający, że nie miała już na nic siły.

Jonas zdobywał wszystkich: Rose, Boba... Nikt nie potrafi mu się oprzeć. Gdy znajdzie się sama z wodzem, ostrzeże go, że wielka demonstracja wrażliwości Jonasa była tylko pozorem, zagrywką we wspinaczkę po szczeblach kariery politycznej. Lecz czy Bob jej uwierzy? Stary człowiek rzadko komukolwiek okazywał tyle sympatii, co Jonasowi.

Pół godziny później ujrzeli przed sobą wieżowce Miami. Słońce odbijało się w taflach przydymionego szkła i stuli. Niebo było dziś bezchmurne. Courtney patrzyła na nie kończący się szereg barów i restauracji szybkiej obsługi. Ciągle zadziwiała ją, że ta tętniąca życiem metropolia kwitła dosłownie w najbliższym sąsiedztwie zagubionych i dziwnie pięknych Everglades.

Jonas zaparkował samochód przed więzieniem. Przez godzinę przesłuchiwał Tommie'ego, często prosząc dziewczynę o pomoc. Bob słuchał cierpliwie, czasem tylko rzucał jakąś uwagę lub kiwał głową. Potem adwokat wyszedł na chwilę. Wrócił z decyzją o zwolnieniu dziesiętnastolatka za kaucją. We czworo udali się na kurczaki z rożna, a potem wrócili do rezerwatu.

Jonas zatrzymał się przed restauracją Rosy i odprowadził Boba i chłopaka do ich półciężarówki. Przerwał ich podziękowania i przypomniał, że Tommie'emu do rozstrzygnięcia sprawy nie będzie wolno polować.

Wysiadając z wozu, Courtney uśmiechnęła się do obu Indian. Gdy odjechali, Jonas odwrócił się i napotkał jej spojrzenie.

- Zapłaciłeś kaucję własnymi pieniędzmi. Dlaczego?

- Bo wiem, że nie zabił tej pumy, a ja wkrótce będę znał nazwisko winnego.

Delikatne łuki jej brwi ściągnęły się.

- Przecież Tommie nie dał ci żadnego dowodu.

- To prawda - mruknął - ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy sporo się od ciebie dowiedziałem. Po prostu pewne fakty nie pasują do siebie.

- Jakie fakty?

Jonas oparł się o samochód.

- Którejś nocy powiedziałaś mi, że Miccosukee polują tylko wtedy, gdy potrzebują żywności, lub gdy od tego zależy ich życie. W przypadku chłopca nie zaistniał ani jeden, ani drugi motyw. Jako syn wodza zna prawo i nie ośmieliłby się go złamać. Miałyby do czynienia z ojcem, a nie tylko z sądem.

Musiła przyznać, że ten mężczyzna potrafi myśleć.

- Sądzisz, że zrobili to ci biali chuligani z Naples? Ci, których Tommie rozpoznał?

- Ja wiem, że to oni. Kazałem zrobić sekcję zwłok pumy. Zginęła od urazów głowy, zmiażdżonej kołem chevroleta, którego Tommie widział na drodze stanowej numer 9336. Rana postrzałowa na nodze

zwierzęcia okazała się powierzchowna i nie mogła zostać spowodowana kulą ze strzelby chłopaka. Stwierdziłem już, że Chevrolet jest z Naples. Wkrótce dostanę nazwisko właściciela. Tommie miał pecha, że był w pobliżu, gdy straż leśna znalazła pumę.

- A co z tym oskarżeniem o polowanie na terenie Parku?

- Sędzia je wycofał. Prawa Indian są starsze od naszych. Moczary są ich terytorium łowieckim od stuleci i żaden sąd nie zakwestionuje prawa Tommie'ego do polowań na terenach, które są jego podwórkiem. Kazałem mu jednak trzymać się z daleka od szlaków turystycznych.

Courtney potakująco skinęła głową. Wyciągnięcie Tommie'ego z tarapatów nabierze wkrótce odpowiedniego rozgłosu i jeszcze bardziej umocni pozycję Jonasa. Mimo wszystko jednak był to ładny postęp.

- Tommie jest ci na pewno bardzo wdzięczny. Więzienie byłoby dla niego straszną torturą. Wkrótce się żeni. Może teraz rozpocząć przygotowania.

- Dzięki za pomoc. Dziś był swobodniejszy i dorzucił parę ważnych szczegółów. Przydały mi się do przekonania sędziego. Twoja obecność okazała się bardzo potrzebna.

Courtney uciekła gdzieś wzrokiem, bardzo zakłopotana tymi słowami. Przypomniały jej dawnego Jonasa, którego pokochała i któremu kiedyś wierzyła.

Gdy zbiorę wszystkie dowody, odbędzie się jeszcze jedno przesłuchanie. Tommie zechce, żebyś była przy tym.

- Na kiedy je przewidujesz?

- Na przyszły tydzień. Czemu pytasz? Planujesz znów zniknąć?

Mnie już to nie dotknie. Szkoda twojej energii.

- Spytałam... - Oddychała z trudem. - Nie będzie mnie tutaj. W sobotę rano wybieram się do babci.

Zacisnęła wargi.

- Na długo?

- Na miesiąc.

- Jak daleko jest do tej osady?

- Jeśli nie będzie padać, dopłynę w ciągu jednego dnia. Jeżeli spadnie deszcz, zajmie mi to dwa dni.

- Gdzie ona mieszka? Dokładnie!

- W ścisłym Rezerwacie Czerwonych Drzew Mangrowych, niedaleko Okaloacoochee Slough, Pagórek ma sporo żyznej gleby, więc rodzina może coś uprawiać i utrzymać się. Pełno tam kwiatów lawendy. Nie ma jednak skrzynki na listy.

Zmierzył ręką włosy.

- Płyniesz sama? - zapytał, nie zwracając uwagi na jej sarkazm.

- Tak. - Nigdy dotąd nie rozmawiali o jej osobistych sprawach. -

Matka posłała mnie w pierwszą samodzielną podróż do babci, gdy miałam szesnaście lat. I odtąd wiosłuję tam sama. Mama mieszkała wtedy w jednym z domów rezerwatu, gdzie ją odwiedzałam. Ale moim obowiązkiem było też odwiedzanie babci.

- Wodą przez dżunglę... - mruknął. - Co ojciec mówił o tych samotnych wyprawach?

Jego pytania wzmogły napięcie dziewczyny.

- Nie wiedział o nich. Nie mówiłam mu. Jak wiesz, rodzice rozeszli się wkrótce po moim przyjściu na świat. Gdy chodziłam do szkoły, mieszkałam u niego przez dziewięć miesięcy w roku, zaś lato

spędzałam z matką. Kochał ją i nie zadawał zbyt wielu pytań ani nie żądał rzeczy niemożliwych. Matka była bardzo niezależna.

- Czy też go kochała?

- Tak. Tak bardzo, że oddała mnie pod jego opiekę. - Jej oczy zwilgotniały. - Nie chciała, żebym przeżyła torturę dopasowywania się do świata ojca i odrzucenia przez świat matki.

- Odrzucenia? - Z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Ojcu nie pozwolono zamieszkać z matką w rezerwacie, więc wzięli ślub w jego kościele w Fort Lauderdale. Założyli tam dom, lecz matka nie mogła się przystosować, mimo że jeszcze przed poznaniem ojca skończyła szkołę średnią i zaczęła studia. Była

- zbyt głęboko osadzona w swoim świecie. Chyba czuła się obco w cywilizacji białych - ciągnęła dziewczyna. - I nie udało się. Została odtrącona, gdy pierwszy raz wróciła do rezerwatu. Urodziłam się więc w szałasie babci. Ojciec odwiedzał nas często, a gdy osiągnęłam wiek przedszkolny, wziął mnie do siebie. Mama zamieszkała później obok Rosy.

- Czy ty też zostałeś odtrącony?

- Niezupełnie. Jestem traktowana trochę jak ciekawostka.

Zapadło między nimi długie milczenie. - Myślałem, że chcesz odwiedzić ojca. On nigdy niczego nie zapomina! - pomyślała.

- Tak, po skończeniu pracy.

- Po co więc ta wyprawa do babci?

Bo potrzebuję ukojenia... i to z twojego powodu, które teraz może mi zapewnić tylko rodzina! - krzyknęła w duchu.

- Tęsknię za krewnymi - powiedziała. - Zwłaszcza za babcią. Miała ciekawe życie. No i chciałabym nagrać jej opowieści, póki jest z nami.

Jonas zadumał się.

- W takim razie poczekam z przesłuchaniem do twojego powrotu. Szczęśliwej podróży!

Skinął ciemną głową na pożegnanie, wszedł do wozu i odjechał.

- Dziękuję... - szepnęła w pustkę. Czowała ból tak głęboki, że nie mogła płakać. Wszystko legło w gruzach. Zerwała z Jonaszem, on też nie chciał już mieć z nią nic wspólnego. Dlaczego więc życie bez niego traciło wszelki sens?! Przecież wiedziała o tym człowieku wszystko!

Pewnie dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy byli nierozłączni. Przeżywali miłość w ciszy, ale potrafili się też bawić. Jonas uwielbiał nurkowanie w głębinach i zaraził ją miłością do tego sportu. Czy możliwe, że to, co zaistniało między nimi, było tylko jej złudzeniem i jego grą? Mogłaby przysiąc, że ją kochał. W ciągu tych miesięcy Laura w ogóle nie istniała!

A może tylko tak się Indiance zdawało.

Zła na siebie przez to rozdarcie, przeszła obok restauracji i weszła w błotnistą kałużę na drodze do szopy. Przeczowała, że nigdy już nic nie będzie takie samo, przynajmniej tak długo, jak Jonas nadzorować będzie Rezerwat Czerwonych Drzew Mangrowych.

Jeżeli już rok temu zaproponowano mu ten urząd, to dlaczego nie wspomniał jej o tym? Czy wódz nie pozwolił mu ujawniać tego przed oficjalną nominacją? Czy też Jonas uznał temat za niegodny uwagi, ponieważ planował wyrzucić ją ze swego życia, gdy tylko przestanie być potrzebna? To ostatnie wyjaśnienie było najbardziej logiczne.

Przez następnych kilka dni Courtney nagrywała wywiady z mieszkańcami rezerwatu. Wieczorami wpisywała teksty rozmów na dyskietkę komputera, który tworzył hasła i zestawiał słownik. Każdy dźwięk musiał być zidentyfikowany i zakodowany. Była to żmudna, męcząca robota, ale konieczna dla stworzenia języka pisanego.

Podobnego trudu podjęło się tylko kilka osób, głównie dziewiętnastowieczni misjonarze. Rozprawa doktorska Courtney była jednak nieporównanie szersza, bardziej rozbudowana i nowoczesna. Pomagało jej to, że w dzieciństwie mówiła tylko językiem Miccosukee.

W piątkowe popołudnie wysprzątała dom i zrobiła ostatnie przygotowania do podróży. Jej kanoe było już zacumowane przy szlaku wiodącym na północ. Obejrzawszy bagaż, magnetofony, akumulatory i kasety, nie mówiąc już o rzeczach osobistych i sprzęcie kempingowym, zmartwiła się, że czółno może zanurzyć się zbyt głęboko. W normalnych warunkach machnęłaby na to ręką, jednak meteorolodzy przewidywali w najbliższych dniach tropikalną burzę. Wiosłowanie podczas sztormu mogło być przecież niebezpieczne.

Położyła się spać przed dziewiątą, planując wyruszyć jak najwcześniej. Jeśli pokona połowę drogi, zanim burza uniemożliwi dalszą podróż, reszta będzie już prosta. Nie mogła zasnąć. Wstała zmęczona i w złym nastroju. Niechętnie przyznała, że powodem bezsenności był Jonas.

Nie widziała go od powrotu z Miami. Prawdopodobnie spędzał wszystkie godziny w firmie i porządkował swoje sprawy, natomiast resztę czasu poświęcał Laurze. Obraz tamtej kobiety w jego ramionach, całowanej i pieszczonej, wypędził ją z łóżka pod prysznic.

Gdy o brzasku odbijała od brzegu, nisko wiszące chmury nie zapowiadały niczego dobrego. Jadowity mokasyn, owinięty jak wąż strażacki wokół pnia palmy, czyhający na nieostrożną ofiarę, wydawał się być mniej czujny, niż powinien. Daleko od niej samotna kania unosiła się nad powierzchnią wody, wypatrując czegoś na śniadanie.

Brakowało jej hałaśliwego akompaniamentu ptasich śpiewów. Wprawnie i cicho wyprowadziła kanoe spomiędzy kobierców bagiennych lilii na otwartą przestrzeń. Poczowała silny prąd, ostrzeżenie przed wichurą, nadciągającą nad Dziesięć Tysięcy Wysp.

Na otwartych wodach wiosłowała szybciej i mocniej. W południe zatrzymała się i zjadła kanapkę przy kolonii białych czapli, pierwszym ze znaków orientacyjnych, wytyczających jej szlak przez Everglades. Lubiła ten pagórek, wyspę ziemi i drzew wśród wysokich traw. Było to cudowne miejsce, zachęcające do schronienia się przed wiatrem. Courtney nie miała jednak czasu na odpoczynek w opuszczonej czuki, szałasie bez ścian, jakich pełno na Moczarach.

Popłynęła dalej, do figowca dusiciela, który swymi pnączami całkowicie już zasłonił drzewo objęte śmiertelnym uściskiem. Za rok o tej porze nie będzie już tego drzewa. A co ona zrobi ze sobą?

Myśl o utracie Jonasa przywołała ponure uczucie samotności. Kocha go, przyznała ze smutkiem, kocha go na śmierć i życie i na przekór wszystkiemu. Nie może uwolnić się od myśli o nim. Energicznie napała na wiosło wzburzona swą łatwowiernością i tym, że okazał się być kimś innym, niż myślała. I w tej chwili poczuła, że nie jest sama. Dziwne mrowienie karku ostrzegło ją o czyjejś obecności. Obejrząwszy się za siebie wypadła z rytmu. Nic jednak nie zakłócało

spowitej oparami ciszy. W ciągu dziewięciu lat samodzielnego wiosłowania ani razu nie spotkała innego wędrowca. Był to odcięty od świata i niezbyt gościnny zakątek. Mógł tu zabłądzić tylko jakiś polujący Miccosukee.

Postanowiła nadrobić stracony czas, wiosłować szybko i mocno. Zanim zbliży się wieczór musiała przebyć szeroką lagunę, by odnaleźć następny pagórek, nadający się do rozbicia namiotu. O tej porze roku było to jedyne w tej części szlaku suche wzniesienie. Gdy znalazła się na środku wielkiej tafli, wiatr zmienił fale w białe grzywacze. Czółno ledwie pełzło. Wystraszyła się, że woda zaleje je zupełnie. Przywołując na pomoc całą siłę woli i wszystkie nawigacyjne umiejętności, powoli przebijając się do przodu, to tracąc, to zyskując kilka metrów.

Skoncentrowana na walce z żywiołem aż krzyknęła przerażona, gdy wiosłem walnęła w twarde grzbiet wielkiego aligatora. Najwyraźniej płynął obok kanoe, tuż pod powierzchnią kipijącej wody. Zimny pot pokrył całe jej ciało, gdy próbowała wiosłem osłabić uderzenie potężnego ogona w burtę czółna. W tej samej chwili przez dziób przewaliła się ogromna fala i przemoczyła ją do suchej nitki. Jeśli tak dalej pójdzie, to czółno ugrzęźnie, a cały jej cenny sprzęt diabli wezmą.

Po raz pierwszy w życiu ogarnął ją prawdziwy strach. Jeszcze kilka takich fal, i nic nie uchroni jej przed aligatorem, który podpłynął tak blisko, że aż spychał ją z kursu.

W desperackiej, beznadziejnej próbie oddalenia się choć na metr od aligatora zaczęła prowadzić czółno zakosami. I wtedy ujrzała, że ktoś wiosłuje ku niej z zadziwiającą szybkością. Ciemnowłosa mężczyzna

znalazł się obok gada i śmiało napał na niego, aby odwrócić jego uwagę. To Jonas! Nie wierzyła własnym oczom.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Courtney! - krzyknął Jonas. - Płyn dalej, a ja go odciągnę. Spotkamy się na drugim brzegu.

Przecinał fale z wprawą, jaką mogły dać tylko lata praktyki. Aligator popłynął za nim. Dziewczyna zyskała chwilę na wylanie z czółna nadmiaru wody, by potem skierować je ku zatoczce, prowadzącej do starego kurhanu, będącego częścią pozostałości po indiańskim osiedlu z szesnastego wieku.

Pokonała żywioł ostatnim wysiłkiem i dotarła do brzegu. Kilkanaście minut później pojawił się Jonas w kajaku. Wydostał się z fartucha i pomógł jej podciągnąć kanoe wyżej na trawę. Wichura wręcz uniemożliwiała manewrowanie. Courtney nie miała już sił. Jonas zaklął cicho, gdy zobaczył, ile jeszcze wody przelewa się w czólnie. Spojrzał w jej oczy.

- Nic ci nie jest?

- Nic... - wyszeptała tylko i potrząsnęła głową, tak wstrząśnięta, że nie mogła mówić. Pojawienie się Jonasa poruszyło ją do głębi. Nie wiedziała, kiedy tu przyплыł i dlaczego. Była mu jednak nieskończenie wdzięczna.

- Rozbij obozowisko, a ja rozładuję kanoe. Miejmy nadzieję, że sprzęt ocalał.

Zwilżyła spierzchnięte wargi i popatrzyła na rozwalający się szałas.

- Rozłożymy bagaże i wszystkie rzeczy na podłodze chaty. Zaraz zaczną padać.

Jonas podniósł wzrok ku ciemnemu niebu.

- Pośpieszę się.

Courtney przebrała się w suchą odzież, on zaś przyniósł bagaże. Pomogła mu odwrócić kanoe i wylać resztki wody.

- Zanieśmy je do cziki i połóżmy na boku. Będzie nas to chroniło od wiatru - zasugerował.

Podczas spędzonych z nim miesięcy widziała, jak dobrze radzi sobie w różnych sytuacjach. Teraz jego doświadczenie było nieocenione. Jonas sprawił też, że Courtney, zawsze bardzo samodzielna, poczuła się bezpieczna i otoczona opieką. Ciepło ogarnęło jej ciało. Nieoczekiwanie, na przekór wszystkiemu, stał się jej bardzo bliski.

- To jest stary sposób Miccosukee. Zaczynam podejrzewać, że masz w sobie trochę indiańskiej krwi - zażartowała, żeby ukryć uczucia, tak bliskie ujawnienia się.

Podniósł koniec czółna i spojrzał na nią z przekorą.

- Nie chciałbym cię rozczarować, ale jest to stary piracki sposób. Według tradycji rodzinnej, jestem potomkiem czarnowłosego korsarza, który terroryzował wszystkie osady na Karaibach.

- Przyjmuję poprawkę - uśmiechnęła się. Ciekawe, czy wymyślił tę historyjkę. Silas Payne nigdy się tym nie chlubił. Może dlatego Jonas miał tak wspaniałą, ciemną karnację? Oczywiście, odziedziczył ją po matce, milej damie, którą Courtney kilkakrotnie spotkała i bardzo polubiła.

Dźwignęła swój koniec kanoe. Ruszyli ku chacie. Wyteżona praca przy rozbijaniu obozowiska nie pozwalała jej myśleć o czekającej ich

nocy ani o powodach, które przywiodły tu Jonasa. Gdyby nie pojawił się tam...

- Nie myśl o tym - powiedział zdyszczanym głosem. Ustawili czółno od strony wiatru. - To już minęło.

Skinęła głową w milczeniu. Unikała jego wzroku, zaskoczona łatwością, z jaką czytał w jej myślach.

Gdzieś tu mam brezent.

Ja też. Zrób kawę, a ja postawię ścianki. Kątem oka przyglądała się, jak Jonas rozkłada brezent i bada konstrukcję cziki.

Komfortowo, jak w domu! - rzucił zauważywszy jej ukradkowe spojrzenia. Zamocował liny do kalenicy. - Z czego to jest? - zapytał, jak zawsze ciekawy.

- Z palmy karłowatej.

- Zmieścimy się ze wszystkim na podłodze, prawda?

Szybko skonstruował dość bezpieczne schronienie. Gdy kończył mocować brezent, spadły pierwsze krople deszczu.

- Wprost doskonała synchronizacja! - Podniósł się z kolan i popatrzył, jak dziewczyna manipuluje przy kuchence. Z udanym oburzeniem zawołał: - Nie wierzę własnym oczom! Już myślałem, że nauczę się rozpalać ognisko na sposób indiański. Rozczarowujesz mnie!

- Próbuję tylko przejąć z obu światów to, co najlepsze.

Po chwili podała kawę i gulasz. Jonas wydobyl ze swego plecaka chleb francuski i ser. Zgodnie usiedli obok siebie na kocu, który Jonas rozłożył na podłodze z nieociosanych bali. Zawieszona na żerdzi latarnia rzucała na nich blade światło.

Lunał deszcz, jakby niebiosy chciały pozbyć się wszystkich zapasów wody, odcinając ich dwoje od reszty świata. Zapadł dopiero wieczór nad Everglades, ale podczas ulewnego deszczu wydawało się, jakby panowała już głęboka noc. Powietrze ochłodziło się nieco, lecz wszechobecna wilgoć dokuczała dziewczynie.

Koszula Jonasa miała mokre plamy, a czarne kosmyki włosów kleiły mu się do karku. Siedząc tak blisko, Courtney czuła męski zapach jego skóry i mydła. Była świadoma jego gibkiego, mocnego ciała, które poruszało się z kontrolowanym, drapieżnym wdziękiem.

Przypomniała sobie, jak wypoczywali na jachcie po nurkowaniu nad rafą koralową. Jednak w takich momentach zawsze jeszcze był w pobliżu ktoś z przyjaciół lub członków załogi, kto mógł pojawić się w każdej chwili. W jego domu zaś Courtney nigdy nie mogła zapomnieć o obecności gospodyni i ogrodnika.

Tutaj natomiast, w sercu Everglades, byli zupełnie sami. Na myśl o tym, cudowne drżenie przebiegło jej ciało.

- Gdyby nie ty, straciłabym cały sprzęt.

- Chyba nie tylko to - rzekł ochryplym głosem. Odstawił kubek z kawą. - Znam doświadczonych fanatyków dżungli, którzy nie odważyliby się wybrać samotnie na Moczary, a na pewno nie bez broni.

- Czy popłynąłeś dlatego, żeby mnie bronić? - zapytała. Serce podeszło jej do gardła. Przez chwilę panowało milczenie.

- Ktoś powinien to robić już od dawna.

W napiętej ciszy Courtney sięgnęła po kawę.

- A tak naprawdę? Po tamtym wieczorze...

- Odpowiadam teraz za te tereny - przerwał jej. - Za wszystko, co się tu dzieje. Nawet za indiańską dziewczynę w tarapatach.

Czuła, że nie mówi jej prawdy.

- Płynąłeś za mną całą drogę z Czerwonych Drzew.

Jonas ułamał kawałek chleba i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Zgadza się. Kiedy zorientowałaś się, że płynę za tobą?

- Po lunchu. Ale myślałam, że to ktoś z Indian. Dlaczego nie zawołałeś mnie?

W zadumie otarł dłonią twarz, przyciemnioną całodniowym zarostem.

- Chcesz znać prawdę?

Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. Jonas odstawił miskę i kubek, wyciągnął się wygodnie na boku, oparł na łokciu i spojrzał w jej twarz. Przypominał zwinną, czarną pumę. Niepokoił ją nawet teraz, gdy wypoczywał.

- Tego poranka poczułem się jak chłopiec - powiedział. Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Jakbym wybierał się w nieznane, gdzie czeka mnie wielka przygoda. Ukryłem się za palmą i patrzyłem, jak wiosłujesz wśród tych oparów. Zdawało mi się, że robisz to bez najmniejszego wysiłku. Z warkoczem przerzuconym przez ramię byłaś indiańską księżniczką ze starej baśni. W tym kanoe, prześlizgującym się nad liliami, wyglądałaś jak wróżka. Poczułem, że gdybym cię zawołał, popełniłbym świętokradztwo. - Słowa grzęzły gdzieś w gardle od jakiegoś niezwykłego napięcia.

Ten głos i słowa wprawiły ją w zakłopotanie. Brzmiała w nich szczerść i niemal... strach.

- Boję się, że w dzinsach i przydeptanych tenisówkach nie pasuję do tej roli - powiedziała lekko.

- Wiesz bardzo dobrze, że nie mówię o ciuchach. Jesteś wyjątkowa, Courtney! Pojąłem to natychmiast, gdy pierwszy raz zjawiałaś się w firmie. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, dlaczego

Jej myśli pobiegły w przeszłość, przywołały tamtą gwałtowną falę podekscytowania, która ogarnęła jej ciało, gdy Silas powiedział:

„Courtney, to mój syn, Jonas. Właśnie wrócił z Waszyngtonu. Przekaż swoją robotę komuś innemu. Jonas ma tyle spraw, że może cię zająć na całe życie". Gdy oderwała wzrok od ekranu komputera, napotkała spojrzenie zielonych oczu, tak żywych, tak cudownych, że zapomniała o wszystkim. Jonas miał sylwetkę i ruchy swego ojca, ale na tym ich podobieństwo się kończyło. Teraz, gdy wiedziała do czego jest zdolny, tamta chwila wydawała się odległa o całe lata. Zapragnęła uciec od tych myśli.

- Zaraz wracam - powiedziała i zniknęła w deszczu.

Wróciła ociekając wodą. Jonas zdążył już pochować jedzenie i naczynia. Courtney wyciągnęła z plecaka moskitierę.

- Jonas! - odezwała się z trudem. - Bez względu na powody, dla jakich mnie goniłeś, dziękuję za to Bogu. Winna ci jestem życie.

Napięcie, jakie narastało między nimi, było nie do zniesienia.

- Czy to tradycja Miccosukee? Być dłużnikiem osoby, która pośpieszyła z pomocą?

Zacisnęła ręce na moskitierze, żeby ukryć ich drzenie.

- To taki retoryczny zwrot.

- Szkoda! - mruknął. - Ta koncepcja z tobą w roli dłużniczki była bardzo podniecająca.

- Proszę, nie mów takich rzeczy! - Zaczęła ściągać tenisówki.

- Czy dlatego, że jesteś poruszona tą wizją tak samo jak ja, mimo pogardy, jaką budzi w tobie mój sposób życia? Mimo iż mi nie ufasz?

Znieruchomiała. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Czy dlatego za mną płynąłeś, aby uwieść mnie w dżungli i przeżyć swoją fantazję, zanim wrócimy do rzeczywistości?

Zerwał się na równe nogi. Oczy błyszczały mu gniewnie.

- Chciałem się z tobą kochać tamtego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Podłoga biura mogła służyć temu celowi równie dobrze, jak koc w tym szałasie. Jeśli to jasne, to czy masz jeszcze jakieś pytania?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Niczego między nami nie będzie, Jonas!

- Czy prosiłem o to? Zaczzerwieniła się z upokorzenia.

- Dlaczego popłynąłeś za mną?

- Teraz sam chciałbym to wiedzieć! - rzekł lodowato. Otulił się skafandrem i poszedł na deszcz.

Wydawało się, że mijają godziny. Courtney, wykorzystując jego nieobecność, założyła luźną bluzkę, obficie spryskała się środkiem przeciw komarom, weszła do sypialni i położyła się plecami w kierunku, skąd Jonas powinien nadejść. Nie zgasła lampy. Światło pomoże mu znaleźć drogę.

Udawiała, że śpi. Po powrocie przygotował sobie legowisko i zgasił lampę. W ciszy, jaka zapanowała, słyszała tylko głośne bicie swego serca na tle monotonnego bębnienia deszczu o palmowe liście dachu.

Podłoga cziki była mała. Ich rzeczy nie pozostawiły wiele miejsca do spania i śpiwory stykały się ze sobą. Jonas był nieznośnie blisko. Leżał nieruchomo, pomyślała więc, że zasnął. Zdenerwowało ją to jeszcze bardziej. Nie mogła sobie znaleźć wygodnej pozycji.

- Lepiej powiedz, co cię dręczy, jeśli w ogóle mamy zasnąć tej nocy - usłyszała po kilku minutach i poczuła delikatne pociągnięcie za warkocz. Całe jej ciało zadrżało od tego dotyka. Zabrakło jej tchu.

- Kiedy miałeś zamiar poinformować mnie o nominacji? - zapytała szybko. - Nie sądziłam, że porzucisz firmę dla czegoś tak ci... obcego.

Czekała w napięciu, nie odważyła się jednak odwrócić do niego.

- Jonas? - szepnęła, gdy on milczał.

- Zatelefonowałem z Waszyngtonu z wiadomością, że posyłam ci bilet lotniczy. Ale wyszłaś już z biura, i nie było cię w mieszkaniu. Chciałem powiedzieć ci o tym osobiście, gdy tylko stanie się to faktem.

- Zamilkł. Courtney nie przerywała milczenia. - Sprawy Indian pasjonują mnie od czasów studiów prawniczych. Gdy cię poznałem i dowiedziałem się o twoim pochodzeniu, miałem wrażenie, że przyjmiesz tę nominację z zadowoleniem. Myliłem się jednak.

Courtney zasłoniła twarz dłońmi. To wyznanie i matowe brzmienie jego głosu zadały jej dziwny ból. Jak mógł sądzić, że sprawi jej przyjemność, skoro nie mieli żadnej przyszłości przed sobą, bo on był już związany z Laurą?! Z krwawiącym sercem spróbowała odsunąć się od niego.

- Spróbuj zasnąć, Courtney! Przeżyłaś dziś niemało...
- Dobranoc - wyszeptała. Jeszcze raz ułożyli się w śpiworach.

Wokół monotonnie szumiała ulewa. Courtney ogarnął strach, że do końca życia będzie cierpieć z powodu utraty mężczyzny, który nigdy nie miał już do niej należeć.

Kiedy się obudziła, zobaczyła Jonasa zajętego szykowaniem śniadania. Deszcz przestał padać, a on ściągnął brezent. Czowała podmuch świeżego, choć wilgotnego powietrza. Rzeczy były już spakowane w kajaku i czólnie. Zapach skwierczącej na patelni szynki powinien ją skusić. Wstała jednak z okrutnym bólem głowy i lekkimi mdłościami. W nocy prześladowały ją koszmary, w których walczyła z aligatorem. Gdyby Jonas nie objął jej i nie trzymał w ramionach przez kilka chwil, uspokajając głębokim, kojącym głosem, z pewnością ponownie by nie zasnęła.

W głębi serca była mu wdzięczna, że uparł się, aby towarzyszyć jej do końca podróży. Ciągle jeszcze, choć minął szok, ogarniało ją przerażenie na myśl o wydarzeniach dnia wczorajszego. Ratując ją sam naraził się przecież na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Głos Jonasa zaskoczył ją:

Jesteś gotowa? pytał. - Nie podobają mi się te chmury.

Courtney spojrzała w niebo. Później będzie padać, ale zdążymy do babci przed deszczem. Poza tym mamy już za sobą najgorszą część drogi. Najpierw jednak muszę coś jeszcze zrobić. Bądź tak dobry i popłynij tym przesmykiem na prawo. On zwięza się potem w ścieżkę między liliami, podobną do tej, którą płynęliśmy na początku. Dogonię cię za kilka minut.

Mężczyzna przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, ale w końcu zrezygnował. Poszukał oczami jej spojrzenia. Dziewczynie zdawało się, że cień bólu przemknął przez jego twarz. Potem skinął głową i poszedł w stronę brzegu. Zapiął fartuch kajaka i odpłynął. Widać było, że na wodzie czuje się jak u siebie w domu.

Podziwiała jego umiejętności, aż zniknął jej z oczu. Potem sięgnęła do plecaka i wydobyła inną odzież. Z szacunku dla babci zawsze pojawiała się u niej ubrana w strój Miccosukee. Dziś też nie mogło być inaczej.

Szybko nałożyła długą, ręcznie szytą suknię, rozpuściła warkocz i rozczesała lśniące, kasztanowe włosy, które rozdzielone na środku głowy spływały kaskadą na piersi aż do pasa. Uśmiechnęła się ironicznie. Luźno puszczone i niczym nie ozdobione włosy nosiły tradycyjnie dziewczęta. W wieku dwudziestu sześciu lat nie była już młodką, ciągle jednak była panną. Na stopy wsunęła bogato zdobione paciorkami mokasyny, które uszyła jej matka i z plecakiem w rękę pobieгла do kanoe.

Dał mocny wiatr. Powiewał jej włosami, jak sztandarem, gdy ruszyła za Jonaszem. Różowy ibis wysunął głowę spod wilgotnych liści, jakby obserwując, czy brzeg jest czysty, a zobaczywszy dziewczynę szybko odfrunął. Courtney dotarła do lilii pod drzewami, nigdzie jednak nie było ani śladu Jonasa. Ta część Moczarów była prehistoryczną płataniną cyprysów, czerwonych drzew mangrowych i setek stawów. Ktoś obcy mógł się tu zgubić i zniknąć bez śladu.

- Jonas! - Jej serce biło jak młotem. Czekala przez chwile. Nikt nie odpowiedzial. - Jonas! - zawolala glOSEm łamiącym się od napięcia i paniki, ginącym w wielkiej ciszy.

- Jestem za tobą - usłyszała głęboki głos. Zapominając o czólnie, zerwała się na równe nogi i odwróciła, niemal wywracając kanoe. Nie wiadomo, które z nich było bardziej zaskoczone. Gdy podziwiała dużą rybę, którą Jonas właśnie podciągał, mężczyzna wpatrywał się w nią, jakby ujrzał ją po raz pierwszy.

- Wyglądasz pięknie! - wyszeptał z podziwem. Coś ścisnęło jej gardło.

- To szyla moja mama. Była świetną krawcową. Miccosukee są znani ze swych oryginalnych wzorów. Ta suknia jest szczególnie kunsztownie wykonana, z tych wszystkich wstążek.

- Strój jest wspaniały, ja jednak mówię o kobiecie w tej sukni. Czekałem na chwile, kiedy zobacze cię z rozpuszczonymi włosami. Są cudowne! Powinnaś miec portret z takim tłem, jak tutaj. Kupilbym go i powiesil w swojej bibliotece. Ksiezniczka Suklatiki z Moczarów...

- Pamietasz? - zawolala zdziwiona. Powiedziala mu to imie tylko jeden raz, nie spodziewajac się jednak, aby moglo cos dla niego znacyc. - Kazdy, kto by zobaczył ten portret, powiedzialby, ze jesteś szalony.

Jego zachwyty poruszył ją do głębi.

- Moze jestem oczarowany - powiedzial ochryple - na pewno jednak nie szalony. A poza tym, jak sądzisz, ilu ludzi zapraszam do biblioteki?

Nic była przygotowana na to pytanie. I nie miała ochoty szukać na nie odpowiedzi. Nie chciała teraz myśleć o Laurze, która wkrótce zdobędzie prawo do mieszkania z Jonaszem, wchodzenia do jego ulubionego pokoju, prawo do jego miłości... Skoncentrowała uwagę na rybie.

- Złapałeś pradziadka. Ciekawe, ile lat tu przeżył. Poczekaj, niech babcia to zobaczy! - powiedziała, obdarzając mężczyznę pogodnym uśmiechem, który rozjaśnił jej oczy. Na krótką chwilę zapomnieli o wzajemnej wrogości. Niespodziewanie jego uśmiech zgasł.

- Courtney! Kiedy ostatni raz widziałaś babcię?

- Sześć miesięcy temu, mniej więcej. Dlaczego?

- Bardzo jesteście z sobą związane? - odpowiedział jej kolejnym pytaniem.

- Oczywiście! Tkwi to w charakterze Miccosukee. Każdy ją szanuje. To głowa rodziny, a jej słowo jest święte.

- Czy ona kontaktowała się ze światem zewnętrznym? - zapytał cały spięty.

- Chodzi ci o to, czy była kiedyś poza Moczarami? Nie, nigdy. Ale od czasu do czasu odwiedzają ją różni ludzie. Jeśli martwisz się, czy cię przyjmie, to niepotrzebnie. Kiedy usłyszysz, że uratowałem mnie przed aligatorem, powie, że przeznaczenie kazało ci być u mego boku w chwili niebezpieczeństwa.

- Coraz bardziej podoba mi się twoja babcia - powiedział z powagą.

Ogarnęła ją nowa fala czułości do niego.

- Cała rodzina ucieszy się z twojego przybycia. Zwłaszcza z takim wspaniałym obiadem, jak ta ryba. I świetnym tematem do rozmów. Moi wujkowie i kuzyni zechcą się dowiedzieć, jak ją złowiłeś. Ciotki i kuzynki też, choć będą udawały, że nie słuchają.

- Myślisz więc, że zostanę zaproszony na obiad?

- Babcia tak postanowi i koniec! - zaśmiała się dziewczyna.

Spróbowała spojrzeć na niego mądrymi oczami starej Indianki. Ujrzała wysokiego, silnego, przystojnego mężczyznę, zdolnego do polowania i łowienia w razie potrzeby. Przyjaciela jej wnuczki, a także potencjalnego wroga, ponieważ należał do świata, którego nie mogła zrozumieć.

Po szczupłej, mądrej twarzy Jonasa przemknął cień.

- Lepiej się pośpieszmy.

Dziewczyna nie czuła potrzeby pośpiechu. Był przy niej Jonas... Z trudem oderwała od niego wzrok. Dziś nosił dzinsy i kraciatą koszulę. Na szyi miał przewieszony aparat fotograficzny. Z przyjemnością patrzyła, jak zgrabnie porusza się, pakując sprzęt wędkarski i złowioną rybę.

- Płyn pierwsza, Courtney!

Tym razem odwróciła głowę. Czuła się jakoś dziwnie i radośnie, słysząc plusk jego wiosła za sobą. Ogarnęło ją poczucie bliskości, jakiego z nikim dotychczas nie zaznała. Z całą pewnością nie tutaj, w samym sercu mokradeł.

Od czasu do czasu zwalniali, gdy któreś z nich spostrzegło królika czy jelenia. Przy kolejnym stawie zatrzymali się i zachwyceni patrzyli

na stado flamingów. Jonas fotografował wszystko, co go interesowało. W pewnej chwili zrobił też zdjęcie Courtney. Odwróciła się zaskoczona.

- Nie marnuj na mnie filmu.

- Czemu nie? Śnieżnobiała czapła leciała tuż nad twoim ramieniem. Świetne ujęcie!

Jonas nadawał tempo. Na chwilę zatrzymali się przy białych drzewach mangrowych, zaspokoili pragnienie i zjedli trochę suszonych owoców. I znów płynęli. Woda pełna roślinności była przytułkiem zielonych żółwi, okoni i zębaczy. Courtney co chwila słyszała okrzyki zachwyty Jonasa.

- Prawie już jesteśmy! - zawołała. Próbowała wyobrazić go sobie jako chłopca. Stąd jej myśl powędrowała ku jego przyszłym synom.

- Tak i mnie się zdaje - powiedział i zbliżył się do niej, przerywając jej zadumę. - Ktoś tam płynie - pokazał w kierunku pagórka.

Dziewczyna przestała wiosłować i powoli podniosła się. Powitała tamtego po indiańsku. Mężczyzna pozdrowił ją pogodnie. Głosy spłoszyły ibisa, który schował się w zaroślach u brzegu stawu. Kanoë podpływało do nich. Courtney poznała wiosłarza.

- To Asiyaholo, mój kuzyn. Poznajcie się! Jonas skinął mu głową. Indianin był ubrany

w kurtkę i koszulę w kolorowe wzory podobne do tych, które zdobiły suknię Courtney. Głowę miał wygoloną z wyjątkiem czuba z przodu głowy. Dziewczyna wprost czuła spojrzenie Jonasa, który porównywał ich oboje.

- Dobrze, że jesteś - powiedział kuzyn. - Babcia zmarła dwa dni temu. Ciało spoczywa tam, gdzie rośnie lawenda.

Courtney tak była tym wstrząśnięta, że nie mogła mówić. Myślała tylko o jednym, że przybyła za późno. Jej rodzina nigdy nie zdradziłaby swych uczuć, ponieważ tak nakazywała tradycja Miccosukee. W jej żyłach jednak płynęła krew dwóch ras. Ojciec Courtney zawsze był otwartym, uczuciowym człowiekiem, nie skrywającym swych emocji. Odziedziczyła to po nim. Jej oczy napełniły się łzami, które niepowstrzymanie toczyły się po bladych policzkach. Odruchowo zwróciła się ku Jonasowi. W jego oczach znalazła współczucie.

- Wiedziałeś o śmierci babci, zanim ruszyłeś za mną, prawda? Kto ci powiedział?

- Nikt! - westchnął ciężko. - Dzień lub dwa wcześniej słyszałem, jak Charlie, ten znachor, powiedział Bobowi, że babcia nie doczeka jesieni.

- Też mi to mówił, ale myślałam, że zdążę spędzić z nią jeszcze sporo czasu. - Jej głos łamał się.

- Zapytałem Boba, czy babka jest chora, a on powiedział, że nie. Ale dodał, że Charlie jest jasnowidzem. Postanowiłem popłynąć, bo ona mogła chorować i mógłbym ci się przydać. Przykro mi, że zmarła. Wiem, jak bardzo zależało ci na zobaczeniu jej.

Łzy nie przestawały płynąć z jej oczu. W końcu usłyszała prawdę od Jonasa. Nie chciał niczego innego, tylko pocieszyć ją, gdy będzie tego potrzebowała.

- Zawrócę teraz, jeśli tak wolisz - powiedział, źle zrozumiawszy jej milczenie. Zaczął już manewrować kajakiem, gdy zawołała:

- Nie zostawiaj mnie, Jonas!

Zwrócił ku niej twarz. Światło błyszczało w jego oczach.

- Naprawdę? - W kąciку jego napiętych warg niespokojnie drżał puls. Courtney otarła łzy wierzchem dłoni.

- Dobrze, że jesteś ze mną. Proszę cię, zostań, jeśli nie musisz wracać do Czerwonych Drzew.

Kłębilo się w niej tak wiele uczuć, iż nie zauważyła, że Asiyaholo coś mówi. Indianin chciał się dowiedzieć, czy Jonas jest nowym superintendentem. Bowiern dotarły tu pogłoski, że biały rządził teraz w Rezerwacie Czerwonych Drzew. Przeprasila go za to, że nie przedstawiła Jonasa wcześniej. Rozmawiali przez chwilę.

- Coś nie w porządku, Courtney? - Jonas przyglądał im się w napięciu. - Jeśli uraziłem uczucia twojej rodziny, to powiedz.

Zapewniła go, że zostanie serdecznie przyjęty.

- Wiedzą już o nowej nominacji i zastanawiali się, czy to chodzi o ciebie. Musimy się śpieszyć, jeśli chcemy zobaczyć babcię jeszcze przed burzą. Popłyniemy za nim.

- Czy on ma coś przeciw mojej obecności?

- Skądże! Jesteś ze mną. On to akceptuje. Popłynęli w stronę kilku widocznych w oddali szałasów. Asiyaholo wiosłował pierwszy. Courtney nie potrafiła wyobrazić sobie tej chwili bez kojącej obecności Jonasa. Niepokoiło ją, że tak go potrzebuje. Ból, który jej zadał, nie miał w tej chwili znaczenia.

Rodzina babci mieszkała na niewielkim pagórku, porośniętym bujną roślinnością i wysokimi palmami. Był to całoroczny dom dla

piętnaścioro ludzi, którzy rzadko pojawiali się na granicy z inną cywilizacją. Zostało ich teraz czternaścioro.

Zbliżali się do brzegu. Wszystko tu wyglądało nierealnie. Asiyaholo powiedział, że będą mieli gdzie spać, bo on się przeniesie do cziki drugiego kuzyna. Najwidoczniej Rosa zdradziła mu, że Jonas jest szczególnym człowiekiem w życiu Courtney. Naturalne więc, że chcą być we dwoje.

Osada wydawała się być opuszczona. Zrozumieli to mijając kilka ogródków, szeregi krzewów jagodowych. Znaleźli się po drugiej stronie wzniesienia, gdzie obficie kwitła lawenda, w miejscu najbardziej ulubionym przez babcię.

Członkowie rodziny byli ubrani podobnie jak dziewczyna. Zebrali się tu wszyscy, aby oddać cześć zmarłej. Powitali Courtney spojrzeniami.

Ogień buchnął zarówno spod głowy i stóp zwłok, jak i ze stosu rozszczepionych pni, nad którym postawiono mały dach. Courtney instynktownie chwyciła rękę Jonasa i poczuła, jak jego ciepłe, mocne palce obejmują jej dłoń i dodają odwagi. Naruszało to wszystkie reguły etykiety Miccosukee, którzy nie okazują uczuć za pomocą gestów czy dotyku. Dziewczyna jednak nie wahała się oprzeć na Jonasie. Jej rodzina tolerowała te dziwne, białe nawyki. Courtney dawno temu nauczyła się przekraczać granicę między dwoma światami i w obu czuła się równie dobrze. Przejście z jednego do drugiego było tak proste, że nie musiała o tym myśleć.

Jednak tym razem przyprowadziła ze sobą białego człowieka. Wydawało się czymś nieprawdopodobnym, że patrząc na babcię po raz

ostatni stała tu ręka w rękę z kimś obcym tej krainie. Stara Indianka wyglądała tak samo, jak wiele lat temu. Była niższa od wnuczki, tęga, jak wiele kobiet tego plemienia, o ciągle długich włosach, białych jak ogon czapli. Śmierć uwydatniła wystające kości jej twarzy, nie starła z niej jednak wyrazu głębokiego spokoju.

Courtney puściła rękę Jonasa i poszła zerwać kwiaty. Włożyła je w dłoń zmarłej. Spojrzała w dół na znaną sobie twarz, teraz wiotką i łagodną. Dojrzała w niej ukochane, matczyne rysy. Utrata babci odnowiła bolesne wspomnienie śmierci matki. Najpierw jedna, teraz druga... Nie wiedziała, czy potrafi to przeżyć.

Odczuła potrzebę pocałowania czoła zmarłej. Zrozumiała jednak, że w tej podniosłej chwili uraziłaby uczucia krewnych. Jonas wyczuł jej zmagania

i raz jeszcze wziął ją za rękę, mocno ściskając. Uniosła bezradnie twarz ku niemu i w jego cudownych, zielonych oczach zobaczyła łzy. Jonas jakby wiedział, co dzieje się w jej sercu. Ta chwila wstrząsnęła nią głęboko.

Inni zostaną tu wokół ciała, do czasu aż wiatr się zerwie. Courtney musiała odejść, aby wypłakać się w samotności. On poszedł za nią.

- Jeśli chcesz być sama... - zaczął.

- Nie! - szepnęła. - Potrzebuję cię.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jonas westchnął głęboko. Objął Courtney swymi potężnymi ramionami. Ten czuły gest przerwał w niej jakąś tamę. Wtuliła twarz w jego piersi i wybuchnęła płaczem. Kołysał ją łagodnie, szeptał jakieś uspokajające słowa, pozwalał wypłakać cały żal. Pogładził jej włosy na skroniach.

- Przeżyłaś zbyt wiele wstrząsów w ciągu jednej doby. - Łagodnie całował jej powieki. Dotyk jego ust wyzwolił w niej jeszcze jedną falę żalu. Szlochała długo, nieświadomie tuląc się do jego ciała, jak w niedawnej przeszłości,

- Przemoczyłam ci koszulę. - Przełknęła łzy i oprzytomniała. Wydostała się z jego objęć, lecz Jonas nie pozwolił jej odejść.

- Wygląda na to, że mokre koszule stały się moimi nieodłącznymi towarzyszkami.

Gdy podniosła oczy i ujrzała jego tkliwą twarz, zabrakło jej tchu. Nie wiedziała, że mężczyzna może dać tyle czułości, zwłaszcza tak tryskający męskością, jak Jonas.

Jej splakane, brązowe oczy wpatrywały się w niego zza wilgotnych, czarnych rzęs.

- Dziękuję ci, że jesteś ze mną. Dziękuję także za uratowanie mi wczoraj życia. Nigdy tego nie zapomnę.

Jonas zamrugał oczami.

- To brzmi jak wstęp do pożegnania na wieki. Zdawało mi się, że nie chcesz, abym odszedł - mruknął żartobliwie. Kiedy był taki jak teraz,

Courtney zapominała, że zrujnował jej życie. Z najwyższym trudem wysunęła się z jego ramion.

- Niedługo się ściemni. Zanieśmy nasze rzeczy do szałasu Asiyaholo, przy tych sosnach.

Jonas w milczeniu poszedł za nią na brzeg. Potem, podobnie jak wczoraj, przygotowali nocleg. Zanim reszta rodziny wróciła do osady, Jonas zamocował brezentowe ściany.

Courtney wzięła rybę.

- Zabiorę ją do szałas, gdzie jest kuchnia i pomogę w przygotowaniu obiadu. Możesz swobodnie chodzić po całym pagórku. Nie jest wielki, nie zginesz. Tylko bądź tu za godzinę.

- Wolałbym ci pomóc - powiedział łagodnym głosem.

Nastrój intymności, jaki zapanował między nimi, osłabiał ją wewnątrz.

- Złowiłeś obiad, więc spełniłeś swój obowiązek. Reszta należy do kobiet.

Jonas potarł kark.

- Skoro jestem tu zbyt czyny, to pewnie zdecyduję się na przechadzkę. Tylko mi teraz nie zniknij!

Dotknął palcem jej owalnego podbródka. Delikatne muśnięcie przypomniało jej, ile to już tygodni jego ręce i usta nie pieściły jej ciała. Odsunęła się natychmiast.

- Po pięciu minutach spaceru wyjdiesz na otwartą łąkę, za którą zobaczysz resztki osady Calusa. To może cię zaciekać.

- Jak najbardziej! - droczył się. Na pewno spostrzegł, jak bardzo wzburzył ją jego dotyk. Nigdy nie umiała ukryć podniecenia, jakie w niej wzbudzał.

- Przy dobrej pogodzie widok tych zabytków jest fascynujący.

- Nic dziwnego, że w takim otoczeniu zrodziło się w tobie zamiłowanie do antropologii. - Przerwał na chwilę. - Zdaje się, że nie masz ochoty powiedzieć mi o stypendium. Niemniej przyjmij moje gratulacje.

Z tymi słowami odszedł. Courtney stała nieruchomo przez chwilę, rozdarta jeszcze bardziej niż dotychczas. Dlaczego był taki cudowny? Zrozumiała, że teraz, gdy utraciła kogoś z najbliższych, reaguje na niego mocniej. Jednak nie wolno jej ulec tej słabości.

Deszcz lunął, gdy Jonas wracał do osady. Cała rodzina zebrała się już w cziki, służącej za kuchnię. Podłoga była tu zrobiona z rozszczepionych pni karłowatej palmy, palenisko zaś znajdowało się nad gołą ziemią.

Courtney kierowała przygotowaniem. Jej dwie ciotki gotowały mamałygę, bataty i piekły jakieś ciasteczka. Podczas pracy mówiły niewiele. Były zbyt delikatne, aby wypytywać ją o Jonasa, który pojawił się w momencie, gdy najstarsza z nich wykladała kaszę na sofki i wielkie chochle, i podawała je członkom rodziny, od mężczyzn począwszy.

Jonas odszukał wzrokiem Courtney, krzątającą się w blasku ogniska. Skinieniem głowy pokazała, aby usiadł przy niej.

- Nie musisz jeść z sofki. Nie będą tym urażeni - wyszeptała, gdy podano mu chochlę.

- Uważam to za wielki zaszczyt - powiedział. Przyjął łyżkę od Asiyaholo i jadł z niej, jak inni. Podał ją potem Courtney, dając do zrozumienia oczami, że mu smakowało. Szacunek, jaki okazywał jej rodzinie, wzruszył ją tak, że niemal zapomniała o jedzeniu. Musiała w tym momencie przyznać, że jego zainteresowanie Indianami i szacunek dla nich były szczere. Mogła zrozumieć, dlaczego starszyzna plemienna opowiedziała się za nim. Jonas nie udawał.

Nadeszła kolej na rybę.

- Ależ ona smaczna! - zawołał Jonas. - Jak ją przyrządziłaś?

- Usmażyłam w limonach.

- Według przepisu Miccosukee?

- Nie! - zaśmiała się ciepło. - Według własnego! Kuchnia Miccosukee jest dla mnie zbyt łagodna.

- Całe szczęście, że twoja rodzina nie wie, o czym mówimy.

- Asiyaholo potrafi porozumieć się po angielsku, gdy pojawia się w Czerwonych Drzewach. Musisz mu powiedzieć, jak złowiłeś tak wielką rybę.

Jonas odstawił kubek z kawą i spojrzał na kuzyna Courtney.

- Miałem muchówkę z imitacją chrząszcza. Zarzuciłem ją przy wodorostach i pociągnąłem równoległe do urwiska, gdzie powinny być ryby. No i były.

Kiedy skończył, Courtney przetłumaczyła trudniejsze zwroty.

Asiyaholo - uśmiechnął się, co Courtney widywała niezmiernie rzadko, a potem odezwał się po indiańsku. Przez kilka chwil wymieniali jakieś uwagi, podczas gdy inni patrzyli nieruchomo przed siebie.

- Asiyaholo chce, żebyś mu to pokazał, kiedy odprowadzi cię jutro do wzgórza nad laguną.

Jonas milczał przez dłuższą chwilę.

- Czy chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że mam wyruszyć stąd jutro rano? - zapytał. Oczy miał wąskie jak szparki. Poczł się dotknięty. Przeraziła ją ta szybka zmiana nastroju. Przycisnęła dłonią tłukące się serce.

- Przypuszczałam, że chcesz wracać. O ile wiem to superintendent musi być zawsze pod ręką. Do rana burza przejdzie, więc będziesz w domu przed obiadem.

Błysnął oczami.

- Powiedz kuzynowi, że z przyjemnością popłynę z nim na ryby, ale w zamian chciałbym, żeby mi pokazał, jak łowi okonia.

Słowa zabrzmiały przyjaźnie, ale nie odezwał się już do końca posiłku, który zakończył deser z dzikich winogron.

Po posiłku kobiety sprzątały kuchnię, mężczyźni zaś rozmawiali ze sobą. Uporawszy się z robotą, Courtney podeszła do Jonasa.

- Możesz iść do cziki, kiedy zechcesz. Ja pójdę do mojej kuzynki, Soliki, ukołysać jej dziecko do snu. Nie wiem, jak długo to potrwa.

- Jeśli myślisz, że położę się bez ciebie, to się bardzo mylisz:

Courtney zapłonęła rumieńcem. Nie wiedziała, jak zareagować na tę bezczelność. Bez słowa odwróciła się i pobiegła do kuzynki. Sięgnęła po niemowlę, które kołysało się w hamaku obok matki. Przez godzinę trzymała je i paplała do niego łagodnie. Od czasu do czasu wymieniała jakieś mało ważne uwagi z kuzynką.

Gdy dziewczyna wróciła, ogniska już zgasły, a obóz pograżał się we śnie. Noc była porą snu na Moczarach, zwłaszcza podczas burzy, kiedy wszystko tonęło w błocie. Gdy Courtney, starając się zachowywać jak najciszej, wchodziła pod dach szałas, Jonas zapalił latarkę.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho i zgasił światło.

- W porządku.

Postanowiła spać w swoim stroju, byleby nie przebierać się w nocną koszulę. Ubrana od stóp do głów czuła się bardziej bezpieczna. Wsunęła się do śpiwora, owinęła moskitierą górną połowę ciała i zmusiła do wypoczynku.

- Twoi krewni pograżeni są pewnie w żałobie. Nic jednak nie mogę odczytać z ich twarzy - szepnął.

- Tacy już są - westchnęła.

- Jeśli chciałabyś jeszcze popłakać, to służę swoim szerokim ramieniem.

- Dziękuję bardzo, już się wypłakałam. Kochałam babcię. Będzie mi jej brakowało. Miała jednak za sobą długie życie. Prawdziwą dla mnie tragedią jest to, że zabrała ze sobą opowieści i wspomnienia. Powinnam odwiedzić ją wcześniej.

Usłyszała, jak Jonas zmienia pozycję w śpiworze. Leżał teraz zwrócony twarzą do jej pleców. Czuła jego ciepło i błagała go w duchu, żeby już się nie zbliżał ani o centymetr.

- Skąd miałaś wiedzieć, że nadszedł jej czas? Myślę jednak, że rodzina mogłaby opowiedzieć ci wiele o babci, a nawet powtórzyć jej historie.

- Masz rację - wyszeptała. Brzmiało to rozsądnie, ale strata jeszcze za bardzo bolała, by można było spojrzeć na nią z jakiejś perspektywy. - Dzięki ci za te słowa. Jesteś bardzo wrażliwym człowiekiem. Moi krewni niczego nie okazują, ale jestem pewna, że zdobyłeś ich przychylność. Nawet nie wiesz, jaki to komplement.

- Czy to znaczy, że jeszcze ich nie wyprowadziłaś z błędu? - Znow obrócił się w śpiworze.- Jestem zaskoczony.

Wkroczyli nagle na niebezpieczny teren. Jej serce znowu zaczęło łomotać.

- Jesteś nowym superintendentem, którego będą oceniać po czynach. No, popatrz! Uratowałeś mi życie, jesteś bardzo miły dla mnie podczas tej wyprawy. Nie kłóćmy się. Moja rodzina akceptuje cię tylko dlatego, że jesteś moim przyjacielem.

Jonas wybuchnął fałszywym śmiechem.

- A czy domyślają się tego, że jesteś tak samo przyjazna, jak ten aligator, który wczoraj bawił się z tobą?

- Ja nie bawię się z tobą - odpowiedziała spokojnie.

- Oczywiście! - syknął. Courtney zadrżała, słysząc nienawiść w jego głosie i obróciła się w śpiworze, chcąc wstać, ale ręka mężczyzny była szybsza i uwięziła jej ramię w mocnym uścisku. - A teraz dokąd się wybierasz?! - Podniósł się na łokciu i zbliżył do niej twarz.

Lepiej będzie, jak pójde do Soliki - odparła, wyrывая się z jego uchwytu.

- O nie! Nie pójdziesz! - Złapał w kostce jej nogę. Upadła ciężko w jego ramiona. Zanim zdołała się zerwać, jego ręce wczepiły się w jej bujne włosy, przytrzymały głowę. Nie mogła się ruszyć.

- Jak śmiesz! - Odpychała jego pierś rękami, ale każdy ruch napotykał opór jego mocnego ciała.

- Jak śmiem co robić? - wyszeptał mściwie. - Dotykać cię białymi łapskami i gwałcić świętość? Zrobię znacznie więcej!

W atramentowej ciemności znalazł i przygniótł ustami jej wargi. Dziewczynę zaskoczyła gwałtowność jego uczuć. Z dzikością, która w jednej sekundzie zniszczyła wszystkie bariery, rozkoszował się jej ustami. Nie mogła przed nim uciec. Choćby nie wiadomo jak się szamotała, trzymał ją zamkniętą w uścisku i całował, jakby chciał wypić z niej całe życie.

- Nie, Jonas! - błagała, gdy jego wargi ześlizgnęły się z jej twarzy na szyję. Wtulił usta w jej pachnącą skórę. Fale dreszczy nękały jej ciało.

- Bawiłaś się mną. Teraz nadeszła moja kolej. - Błyskawicznym ruchem przyciągnął ją do siebie i zgniótł w objęciach. Całował ją, na nic nie zważając. Nie dawał jej odetchnąć, wprowadzał w jakąś zaczarowaną krainę, w której opór stawał się coraz słabszy. Jeszcze kilka chwil, jeszcze chwila, a zapomni o wszystkim.

- Błagam cię! - krzyknęła, z trudem łapiąc oddech.

- O co, Courtney? Walczysz ze mną, czy z sobą? Powiedz mi, że tego nie pragnęłaś - wyszeptał w jej skórę. - Przekonaj mnie, że nie tęskniłaś za tym.

Przerażona, że ulegnie swej słabości, zebrała wszystkie siły i rozwarła jego ramiona. Zerwała się na nogi i wybiegła z cziki. Gdyby dotknął jej teraz, poddałaby się swoim i jego pragnieniom.

- Courtney! - usłyszała gorący szept, lecz nie zareagowała. Dziś Jonas zaskoczył ją w chwili słabości. Jediną jej obroną była ucieczka i unikanie na przyszłość takich sytuacji.

Krótki bieg od jednego szałas do drugiego prze- moczył ją całkowicie i Solika musiała pożyczyć jej koszulę. Rano założy cokolwiek, póki strój nie wyschnie.

Gdy ułożyła się na macie i owinęła siatką, niemowlę zaczęło kwilić. Wdzięczna za jakiegokolwiek zajęcie, Courtney kołysała hamak, póki nie zasnęło. Dałaby wszystko, żeby zamienić się z brzdącem miejscami. Nie odbierały mu snu żadne dokuczliwe myśli ani koszmary.

Skuliła się na boku. Niech już ustanie ten ból serca! Niech ochłonie ciało po namiętnościach, które Jonas obudził! Jak będzie mogła stanąć przed nim rano i udawać, że nic się nie zdarzyło?!

Gdy Courtney się obudziła, deszcz już nie padał. Ptasie śpiewy dzwoniły na całym wzgórzu. Przeciągnęła się i usiadła na macie. Kuzynka spojrzała na nią z zaciekawieniem. Na pewno zastanowiło ją, dlaczego dziewczyna przybiegła tu w środku nocy, ale o nic nie pytała. Uśmiechała się tylko i kołysała dziecko.

Przyglądając się pięknemu widokowi matki i dziecka, tak naturalnie zadowolonych i spokojnych, Courtney poczuła ukłucie zazdrości. Pomyślała, że sztorm w jej życiu trwa już zbyt długo. A co gorsza, ona teraz musi wyjść i spojrzeć w twarz odpowiedzialnemu za to mężczyźnie.

Po krótkiej rozmowie z Solika ubrała się w strój kuzynki i wyszła z szałas. Musiała spać długo, bo obowiązkowy garnek z mamałygą

wisiał już nad ogniskiem. Czy Jonas zjadł śniadanie z innymi, czy też sam coś sobie przygotował?

Zebrała siły na konfrontację. Miała nadzieję, że spał fatalnie. Ale w połowie drogi przez wieś zauważyła, że kajak zniknął. Rozejrzała się za Asiyaholo, ale i jego nie zobaczyła. Powinna była doznać ulgi, ale - ku jej zaskoczeniu - ogarnęło ją gwałtowne poczucie samotności i ogromnej pustki. Powoli dotarła do cziki. Nie było tu żadnych rzeczy Jonasa. Nie wiedziała, co ma dalej z sobą robić. I w tym momencie spostrzegła skrawek papieru przyciśnięty kuchenką. Od razu poznała zdecydowane, męskie pismo Jonasa.

Courtney!

Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wyruszę stąd, jak tylko przestanie padać. Niech ktoś cię odprowadzi do Czerwonych Drzew, gdy zdecydujesz się na powrót. Wypoczywaj i bądź spokojna, że z mojej strony nic już Ci nie grozi.

Jonas

Łzy napłynęły jej do oczu. Wiedziała, podobnie jak on, że jest to najlepsze rozwiązanie. List jednak zranił ją głęboko. Jednocześnie, gdy pomyślała o aligatorze, wstrząsnął nią lodowaty dreszcz przerażenia. Czy Jonas może spotkać tę bestię w drodze powrotnej? Dobrze, że chociaż Asiyaholo towarzyszy mu do laguny. Miała nadzieję, że kuzyn powie Jonasowi, jak ma się kierować w drodze do Czerwonych Drzew. Planowała narysować mu mapkę, teraz jednak było już za późno.

Wyszła na skraj obozu i długo patrzyła w kierunku Czerwonych Drzew. Modliła się o bezpieczną podróż dla Jonasa. Wszystkie kłopoty i trudności nie zmieniały faktu, że jest w nim beznadziejnie zakochana.

Postanowiła, że nigdy go już nie zobaczy. Nie umiała jednak wyobrazić sobie, jak przeżyje najbliższy miesiąc bez wiadomości o nim.

Asiyaholo nie wracał. Courtney próbowała zapełnić pracą samotne godziny i rzuciła się w wir codziennych obowiązków rodzinnych. Dopiero następnego popołudnia ujrzała zbliżające się kanoe kuzyna i z bijącym sercem pobiegła na brzeg. Indianin podniósł wysoko rękę ze złowionymi okoniami i uśmiechnął się. Dziewczyna poczuła natychmiastową ulgę, ale chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Zarzuciła go pytaniami.

Okazało się, że Asiyaholo dostał od Jonasa wędkę. W rewanżu przepłynął z nim lagunę i skierował go na właściwy szlak. Courtney odmówiła modlitwę dziękczynną, choć wiedziała, że Jonas zawsze potrafi dać sobie radę. Podziękowała też kuzynowi i wzięła od niego ryby. Przez całą drogę do kuchni widziała Jonasa, wiosłującego przez Moczary. Spojrzała na zegarek. Niedługo powinien już być w Czerwonych Drzewach.

Przez resztę dnia i noc nie mogła przestać o nim myśleć. Z wyjątkiem chwilowego zapomnienia tamtego wieczoru okazał się być troskliwym, wrażliwym mężczyzną z wieloma cechami godnymi podziwu. Odwaga, szczodrość, poszanowanie jej rodziny... Nic nie zgadzało się z tamtym obrazem człowieka, którego postępowanie atakowała tak zaciekle.

Wszystko to było pozbawione sensu. Sprzeczność jej uczuć wywoływała w niej zamęt i strach. Miała nadzieję, że do powrotu potrafi wziąć się w garść. Na razie miesiąc bez możliwości zobaczenia go był przerażający jak cała wieczność.

Pięć tygodni później warkot śmigłowca zakłócił poranny ptasi koncert. Courtney wyskoczyła ze śpiwora i wybiegła na zewnątrz, gdzie gromadzili się inni członkowie rodziny. Helikopter w tej części Everglades był rzadkim zjawiskiem. Ciekawe, jak często jej krewni widywali coś takiego. Maszyna miała znaki rządowe. Courtney wiedziała: to Jonas!

Jej serce zatrzepotało w piersi tak gwałtownie, że aż się wystraszyła. Przebierała się w pośpiechu. Śmigłowiec kołował nad łąką. Za chwilę wyląduje!

Zdesperowana pobiegła do Soliki po pomoc. Nie była w stanie pozapinać guzików palcami owiniętymi bandażami po wypadku, który wydarzył się jej tydzień temu. Wołała nawet nie myśleć o włosach. W ciągu ostatnich dni była nieprzytomna z bólu. Tradycyjne leczenie ziołami przynosiło poprawę bardzo powoli. Rany zmusiły ją do pozostania w obozie dłużej, niż to planowała.

Szybko wytłumaczyła krewnym, że najprawdopodobniej jest to Jonas, nie ma więc powodów do obaw, i pobiegła w stronę helikoptera. Nie miała pojęcia, dlaczego przyleciał. Jakiś nagły wypadek...? A może Rosa powiedziała o czymś, co go zaniepokoiło... Ogarnęła ją panika. Może ojciec został ranny albo zachorował... Pędziła co tchu starą indiańską ścieżką. Nagle zobaczyła przed sobą Jonasa. Nie mogła już zatrzymać się. Wpadła na niego. Silne ręce Jonasa wyciągnęły się i podtrzymały ją. Zderzenie było jednak tak silne, że aż krzyknęła z bólu. Spojrzenie mężczyzny pobiegło ku jej zabandażowanym dłoniom.

-A więc to cię tak długo zatrzymało! Ciągle wyobrażałem sobie, że walczysz z aligatorem, musiałem więc przylecieć i przekonać się na

własne oczy, że żyjesz i nic ci nie grozi... - przerwał i zapatrzył się w jej uniesioną ku górze twarz, w każdy jej szczegół, jakby nie mógł uwierzyć, że widzi ją naprawdę.

Courtney poczuła zawrót głowy. Ogarniała ją słabość. Nie miała pojęcia czy to z bólu, czy z radości na jego widok.

Wychudł. Cienie kładły się pod jego oczami, jakby i on zmagał się z bezsennością. Czarne włosy kręciły mu się na czole i na karku. Od dawna nie widziały fryzjera. Lecz najbardziej zaskoczyła ją bladość, prześwitująca przez jego brązową skórę.

Mężczyzna przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, ujął je w nadgarstku i podniósł do góry. Przyglądał im się uważnie.

- Co się stało?

Gdy był zdenerwowany, żyłka wyraźnie pulsowała na jego skroni. Dygotała teraz przyśpieszonym rytmem, Courtney starała się na nią nie patrzeć. Pytał o coś, lecz jego bliskość i dotyk nie pozwalały jej skupić myśli.

- Ja... Popeniłam straszne głupstwo. Wiedziałam o tym przecież, ale byłam chyba poza wzgórzem zbyt długo i zapomniałam.

- O czym zapomniałaś? - spytał, nie puszczając jej rąk.

- Znajomy z wydziału botanicznego poprosił mnie o przywiezienie ze wzgórza niektórych roślin. Zapakowałam już kanoe i wszystko było przygotowane na powrót do Czerwonych Drzew, gdy przypomniałam sobie o jego prośbie. Zostałam więc jeszcze na jeden dzień. Poprosiłam nawet krewnych o pomoc. Dopiero kiedy zobaczyłam swoje poparzone, pokryte pęcherzami i czerniejące ręce, zrozumiałam, że dotknęłam

trującego drzewa. - Zadrżała od delikatnej pieśczoły jego palców, wolno kreślących jakieś koła na jej ciepłej skórze.

- Musisz pójść do lekarza - mruknął.

Nie mogła ani sekundy dłużej znieść jego dotyku i odsunęła się.

Kuzynki zrobiły mi okład z ziół. Czuję się dziś już, znacznie lepiej.

Czy masz jakieś środki przeciwbólowe? - spytał. Jego uważne spojrzenie zatrzymało się na cieniach pod jej oczami.

- Nie wzięłam - potrząsnęła głową i spojrzała w bok. - Źle się po nich czuję.

- Jak długo to trwa? - Ciemne czoło Jonasa zasepiło się.

- Już tydzień. Ale ból powoli ustępuje. Zamknął oczy na chwilę.

Potem rzekł:

- Polecimy razem. Jest ze mną Gill Travis, nasz pilot. Powiedz, co trzeba zabrać, to zaczniemy ładować.

Jej serce łomotało jak szalone. Nie mogła oddychać. Jeszcze raz pośpieszył jej z pomocą. Choć dobrze jej tutaj z rodziną, wołała już znaleźć się we własnym domu, w Czerwonych Drzewach. Jednak, żeby wziąć wiosło do ręki, musiałyby czekać jeszcze tydzień. Lękała się tylko jego obecności. Nie umiała ukryć, jak wiele dla niej znaczy.

- Nie chciałabym ci sprawiać kłopotu. Widzisz, że wszystko w porządku. Za parę dni...

- Za parę dni mamy sprawę Tommie'ego - przerwał jej stanowczo.

- Aon postanowił, że bez ciebie nie pojawi się w sądzie. W tych okolicznościach twoja obecność jest sprawą zasadniczej wagi. Mogę być zmuszony do powołania cię na świadka.

Zapomniała o Tommie'em. Oczywiście, nie zawiedzie go. Jednak natychmiast po rozprawie zaczęła przygotowywać się do zaplanowanego już wcześniej wyjazdu do ojca. Nie odważyła się zostać w rezerwacie, narażona na ciągłe spotkania z Jonaszem. Dobrze chociaż, że podczas lotu do Czerwonych Drzew nie będą tylko we dwoje.

- Zgoda! - powiedziała cicho. Nie spojrzała mu w oczy. -
Zawiadomię rodzinę.

Napięcie, jakie zapanowało między nimi, było nie do zniesienia. Jonasz zaczął coś mówić, przerwał jednak i ze złością odszedł w stronę śmigłowca.

Następna godzina zapisała się w pamięci Courtney jak niewyraźny film. Jonasz z pilotem ładowali do helikoptera jej rzeczy, ona zaś zżegnała się z krewnymi. Minie zapewne sporo czasu, może nawet rok, zanim tu wróci. Asiyaholo zgodził się odprowadzić jej kanoe podczas następnej wyprawy do osady.

- A to, gdzie mam położyć? - Zakreśliła się w miejscu słysząc głos Jonasa. Jej oczy spoczęły na kilku pudłach z zaopatrzeniem. Przywiózł je dla nich! Pomarańcze, grejpfruty, kawa, mleko w proszku, sól, cukier, cukierki. Słowem wszystko, co może być potrzebne ludziom, żyjącym z dala od cywilizacji. Wzruszyła się.

- Najlepiej przy kuchni - odparła. Otoczona zaciekawionymi krewnymi powiedziała im o podarunku Jonasa. Zdarzyło się wtedy coś, czego nigdy dotychczas nie widziała. Wszyscy uśmiechali się, gdy dziękowała mu w ich imieniu.

Jonas odpowiedział szerokim, szczerym uśmiechem, którego nie widziała już tak dawno, że nawet zapomniała, jak wygląda. Czuła się bardzo szczęśliwa. Musiała odwrócić wzrok.

Kilka minut później, oparta na nim, weszła do helikoptera. Kiedy odwróciła się, aby pomachać krewnym na pożegnanie, zobaczyła czternaście osób z lizakami w ustach. Tego obrazka nie zapomni chyba do końca życia.

Jonas pomógł jej usiąść w fotelu za sobą i zapiąć pasy. Gill uruchomił silnik. Wielkie łopaty zawirowały nad nimi i po chwili uniosły ich w powietrze. Courtney z bólem patrzyła, jak jej ukochani niknęli w oddali.

- Dobrze się czujesz? - Jonas spojrział na nią przez ramię. Jego zielone oczy wpatrywały się w zalaną łzami twarz dziewczyny. - Kiedyś znowu ich odwiedzisz.

Te słowa pociechy wywołały jeszcze obfitsze łzy.

- Ja nie dlatego płaczę.

- Mówiłaś, że ręce już nie boją cię tak bardzo - powiedział zatroskany. Dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową.

- Jonas! Ja płaczę, bo tak uszczęśliwiłeś moją rodzinę. Nigdy ci tego nie zapomnę. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś.

Jego twarz zmieniła się w maskę bez wyrazu.

- Próbowałem tylko odwdziżyć się za gościnność okazaną nieproszonemu przybyszowi. Podziękowania są tu zbyteczne.

Courtney odwróciła głowę do okna. Miała nadzieję, że pilot zajęty prowadzeniem maszyny nie słyszał ich rozmowy. Najwyraźniej wszystko między nimi układało się znowu tak, jak wówczas, gdy

pokłócili się w jej mieszkaniu w Czerwonych Drzewach. Była to otwarta rana, która nie mogła się szybko zabliznić.

Dziewczyna spróbowała skoncentrować uwagę na locie. Czowała się zupełnie inaczej, niż podróżując wielkim, pasażerskim odrzutowcem, ale podobało jej się. Mogła przyglądać się Everglades z bliska. Zamyślona nie spostrzegła, że śmigłowiec kieruje się w stronę Miami Beach. Dopiero gdy zauważyła zarysy wieżowców na horyzoncie, wpadła w panikę:

- Dokąd lecimy? - zawołała.

- A jak ci się zdaje? - Jonas obejrzał się.

- Nie możemy wylądować w porcie. Z moim wyglądem?!

Myślałam, że lecimy do rezerwatu. - Po okresie samotności i spokoju na Moczarach nie była przygotowana na hałaśliwe tłumy. I nie mogła znieść myśli o ludziach, gapiących się na jej splątane, nie uczesane włosy i obandażowane ręce.

- Daj spokój, Courtney! Jesteś piękna, bez względu na to, co masz na sobie i w jakim stanie są twoje

włosy. Ale żeby cię pocieszyć powiem, że na lotnisku czeka limuzyna, którą pojedziemy bezpośrednio do mnie. Delia pomoże ci się wykapać i przebrać, a ja w tym czasie zamówię wizytę u lekarza.

W pierwszym odruchu chciała zażądać odwiezienia do rezerwatu. Nie mogła jednak urządzać sceny przy Gillu Travisie. Jak zwykle, Jonas wygrywał. I najwyraźniej cieszył się z tego! Widziała to w niemal triumfującym wyrazie jego twarzy.

Courtney nie chciała mieć wobec niego żadnych dodatkowych długów wdzięczności. Dlaczego był tak troskliwy? Czy za tym pokazem

uprzejmości kryły się inne motywy? Prócz tego, że potrzebował jej pomocy w sądzie?

Helikopter usiadł na płycie lotniska. Zgodnie z zapewnieniem Jonasa, elegancki czarny mercedes o przyciemnionych szybach czekał, by zabrać ich do domu. Jonas podniósł się z fotela, zanim zatrzymało się śmigło maszyny.

- Powiedz mi, czego potrzebujesz na kilka następnych dni. Resztę Gill dostarczy do rezerwatu. Rozmawiałem już z Rosą. Powiedziała, że ma klucz do twojego mieszkania i przygotuje wszystko.

Domyślała się od dawna, że Jonas należy do tych osób, które planują i organizują wszystko tak, żeby nie dać się zaskoczyć. Nic nie mogło być zdane na łaskę losu. Gdyby miała być szczerą wobec siebie, musiałaby przyznać, że otoczona troską czuła się cudownie. Ponadto była zmęczona bezsennością i tak emocjonalnie wyczerpana dzisiejszym spotkaniem, że już nie mogła się zdobyć na wywrócenie tych planów do góry nogami.

Jonas wyskoczył z helikoptera, wyciągnął w górę ramiona, mocno ujął ją w pasie i ostrożnie postawił na ziemi. Poprzez cienki materiał sukni poczuła ciepło jego rąk. Zadrżała.

- Potrzebuję tylko tę małą zieloną torbę. - Było w niej kilka zmian odzieży i kosmetyki. Jonas puścił ją i zajął się bagażem. Poczuła, jakby zabrano jej coś cennego. Pięć tygodni z dala od niego i już łaknęła jego dotyku! Czy nadejdzie dzień, kiedy przestanie reagować na jego bliskość? Gdy nic nie będzie czuła w jego obecności?

Na kartce, którą zostawił w cziki, zapewnił ją, że nie musi już obawiać się niczego z jego strony. Podczas jej pobytu u rodziny na

pewno oficjalnie zaręczył się z Laurą. Dzień ich ślubu powinien być bliski. Jak jednak znalazł czas, aby między tymi wydarzeniami i obowiązkami w rezerwacie troszczyć się o Tommie'ego, pofatygować się po nią i upewnić, że będzie obecna w sądzie?

Nie poleciał przecież w samo serce Moczarów z innego powodu. A kiedy ten powód ustanie i zapadnie wyrok, ich ścieżki nie skrzyżują się ze sobą już nigdy.

Ta perspektywa powinna przynieść jej ulgę...

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Courtney podziękowała pilotowi i poszła za Jonaszem do limuzyny. Zagłębiła się w miękkie siedzenie i zamknęła oczy, rozkoszując się chłodem przyciemnionego wnętrza. Jonas usiadł obok i wydał kierowcy polecenia. Zanim jednak się zorientowała, auto minęło posterunek przy wjeździe na La Gorse Island, zatrzymując się przed willą w zielonym ogrodzie, nad którym górowało ogromne drzewo mango.

Delia, pełniąca tu obowiązki gospodyni, zbiegła po frontowych schodach i zaprowadziła dziewczynę do utrzymanego w brzoskwińowym kolorze pokoju gościnnego. Courtney korzystała już z niego przy kilku innych okazjach. Ku jej zadowoleniu Jonas pozostał na zewnątrz i rozmawiał z ogrodnikiem. Delia mówiła radośnie, zupełnie nieświadoma napięcia, panującego między gospodarzem a gościem. Pomogła dziewczynie zdjąć bandaż. Courtney poszła do łazienki i wzięła długi, odświeżający prysznic. Gospodyni obiecała, że umyje i zaplecie włosy.

Dobrodziejstwa cywilizacji jaskrawo kontrastowały z życiem na mokradłach. Błysk marmurowych podłóg oślepiał oczy Courtney. Dom zapewniał komfort i zachwycał spokojną elegancją. Jonas miał bezbłędny gust - pomyślała. Szczególnie cieszyła się z klimatyzacji. Kochała Moczary, lecz ich duszną wilgoć mogła znosić tylko przez krótki okres. Lodowaty chłód zdawał się rajem. Nie tylko dodawał jej energii, ale i pozwalał zapomnieć o bólu rąk. I choć lubiła piękno i skromność stroju Miccosukee, musiała przyznać, że dzinsy i bluzka bardziej jej odpowiadały. Tylko krewni oczekiwali od niej noszenia

tradycyjnego ubioru. Chętnie wywiązywała się z tego obowiązku podczas odwiedzin na Moczarach.

Wyciągnęła z kosmetyczki ulubioną wodę kolońską Fleurs de Rocaille. Nie używała pachnidełek podczas pobytu w osadzie, gdyż one przyciągały komary. Teraz jednak nie musiała się ograniczać.

- Proszę! - zawołała, słysząc pukanie do drzwi łazienki. Ukazał się w nich Jonas, a nie Delia. Zdążył się wykąpać. Miał na sobie beżowe spodnie i jasnoniebieską bawełnianą koszulę, której kolor pogłębiał zieleń oczu.

- Delia przygotowuje dla nas lunch. Zjemy przed wyjazdem do kliniki. Zabierzmy się teraz za twoją grzywę.

Sama myśl o jego dłoniach w jej włosach, wzbudziła w niej słodki dreszcz. I wystraszyła ją.

- Poczekam na Delię - odpowiedziała szybko.

- Nie czas na to. Doktor przyjmie cię pod warunkiem, że będziemy u niego przed drugą.

Nie miała wyboru. Musiała przyjąć jego pomoc. Jonas skropił włosy szamponem. Delikatnie i starannie masował skórę pachnącym różami płynem, jakby przez całe życie nic innego nie robił!

- Masz palce czarodzieja - wyszeptała. Niemal traciła rozum. Raz po raz dotykał piersią jej pleców. Gdy pochylił jej głowę pod strumień wody, wyczuła nogami twardość jego ud.

- Bosko pachniesz - odpowiedział jej również szeptem. Gorąco jego muskularnego ciała, zapach mydła i ciepło oddechu rozpętywały w niej burzę. Na pewno widział, co się z nią dzieje. Jeszcze trochę, a

zacznie go błagać... by ją wziął. Pociągał dziewczynę z taką mocą, że zapomniała o swoim gniewie i jego zdradzie.

W chwili, kiedy nie mogła już dłużej opierać się szaleństwu zmysłów wywoływanym jego bliskością, Jonas sięgnął po puszysty, różowy ręcznik i zaczął wycierać jej włosy. Energia tych ruchów rozładowała napięcie, które w obojgu sięgnęło zenitu. W nim także! Nie mógł bowiem odezwać się słowem.

- Odwróć się, Courtney! - Chropawy szept zdradził jego uczucia. Zaczął gładzić szczotką długie pasma kasztanowych włosów. Jego zamglone spojrzenie przypomniało dziewczynie inne czasy, kiedy nie byli w stanie odejść od siebie.

- Dziękuję ci, Jonas! Poproszę Delię, żeby je później splotła. - Próbowała się odsunąć, lecz przytrzymał ją za łokcie.

- Pokaż mi ręce.

Wciągnęła powietrze w piersi i rozłożyła przed nim dłonie. Czerń zaczynała znikać, poparzenia goiły się. Rany nadal jednak wymagały pielęgnacji.

Grymas wykrzywił jego zmysłowe usta.

- Im wcześniej zaprowadzę cię do doktora Johnsa, tym lepiej.

Delia przygotowała lunch na werandzie, której okna wychodziły na basen na zachodnim trawniku. Courtney poczuła głód. Rozkoszowała się każdym kęsem zimnej sałatki z kurczaka. Pod imbirowym majonezem, między dużymi kawałkami białego mięsa, widniały winogrona i migdały.

- Schudłaś od naszego ostatniego spotkania. - Jonas podał jej rożek z pomarańczowym nadzieniem i nalał do kieliszka białego wina. - Dlaczego?

- Przez ostatnie pięć tygodni jedliśmy głównie dziczyznę. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak smakuje mi ten lunch. - Powoli sączyła wino.

- Chyba potrafię. Podczas jednej z podróży do Chin, ufundowanej przez Departament Stanu, utknęliśmy gdzieś i musieliśmy przejść na miejscową dietę. Zapewniam cię, że daleko jej było do sarniny.

Znając Jonasa mogła być pewna, że się nie uskarżał. Jest mężczyzną, który potrafi znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. I jeszcze mu się to podoba! Nie spotkała człowieka, który mógłby mu dorównać. Musiała przerwać myśli, biegnące w niepożądanym kierunku. Raptownie wstała od stołu.

- Poproszę Delię, żeby zaplotła mi włosy. - Wybiegła z werandy, zanim zdążył coś powiedzieć i spojrzeć na jej długie nogi. Wolałaby pójść do kliniki w czymś bardziej odpowiednim niż dzinsy. Nie spodziewała się jednak, że zostanie uprowadzona do Miami Beach i będzie zdana na łaskę Jonasa.

Podczas gdy Delia splatała jej włosy, dziewczyna zaklinała się w duchu, że gdy tylko Tommie zostanie uniewinniony, uporządkuje wszystkie sprawy związane z dysertacją i wybierze się do ojca, mieszkającego w Zairze. Bliskość Jonasa rujnowała cały system obronny, który próbowała wznieść przeciw niemu.

Wizyta u lekarza domowego Jonasa nie trwała długo. Doktor spryskał dłonie dziewczyny łagodzącym ból sprayem, przepisał

antybiotyk i łagodny środek nasenny, żeby mogła wreszcie wyspać się. Z zadowoleniem stwierdził, że zioła bardzo skutecznie podgoiły ranę. Wystarczyły małe opatrunki z gazy na najgorsze miejsca.

W drodze powrotnej omawiali sprawę Tommie'ego. Courtney unikała wszelkich tematów, dotyczących jej osobistego życia. Gdy zatrzymali się przed willą, bardzo formalnie, pełnym rezerwy głosem podziękowała Jonasowi za wszystko.

- Dokąd tak się śpieszysz?

- Do łóżka! - odparła i sięgnęła do klamki. Nie miała odwagi przebywać w jego towarzystwie ani minuty dłużej. - Wezmę pigułkę i śpię bez końca.

W zamyśleniu gładził dłonią brodę.

- Zajrzę do ciebie później. Jeśli nie będziesz spała, przyniosę ci kolację.

- Proszę, nie rób sobie kłopotu! - Jego troskliwość wzruszała niemal do łez. Za każdym razem, gdy opiekował się nią, wzbierała w dziewczynie fala czułości. - Nie chciałabym odrywać cię od obowiązków.

- Troskę o twoje zdrowie uważam za swój najważniejszy obowiązek - padła stanowcza odpowiedź. Pomógł jej wysiąść z limuzyny. W holu przeprosił ją i ruszył do swego gabinetu.

Oczami zamglonymi ze zmęczenia Courtney patrzyła, jak odchodził. Potem udała się do swej sypialni. Ciągle nie mogła zrozumieć, dlaczego był taki troskliwy. To jasne, że nie ze względu na Tommie'ego. Wolą nie wnikać w jego motywy. Ani w uczucia...

Pigułki zaczęły wkrótce działać. Courtney wślizgnęła się pod chłodną, batystową pościel. Nie wiedziała o bożym świecie, póki gdzieś po północy nie obudził jej głód. Nie miała pojęcia, czy Jonas przyniósł kolację. Była wygłodniała. Postanowiła, że nie zaśnie, póki nie znajdzie czegoś do jedzenia.

Biały, aksamitny szlafrok leżał przewieszony przez oparcie jednego z wiklinowych foteli. Jonas pomyślał nawet o tym! Miała ze sobą tylko cienką, bawełnianą koszulę, w której spała na Moczarach. Gdy nakładała szlafrok i ciasno owijała się paskiem w szczupłej talii, poczuła zapach jego mydła.

Licząc na to, że wszyscy śpią, wybiegła na palcach z sypialni, przekradła się przez hol i zeszła krętymi schodami do kuchni. Chciała zjeść tylko jedną grzanekę i wypić szklanekę mleka lub soku.

Księżyc świecił tak jasno, że nie musiała zapalać światła w przestronnej, nowoczesnej kuchni. Szybko znalazła wszystko. Grzanka właśnie wyskoczyła z opiekacza, gdy nagle do kuchni wszedł Jonas

i zapalił światło. Courtney krzyknęła zaskoczona i zasłoniła oczy. Był jeszcze ubrany. Jego spojrzenie powędrowało ku jej rozrzuconym w beładzie włosom, zatrzymało się dłużej na ustach, w końcu na grzance.

- Myślę, że stać nas na coś lepszego! - Otworzył lodówkę i wyjął majonez, sałatę i rostbef. Ukroił kilka plasterków i podał jej kanapkę.

- Przepraszam, jeśli ci przeszkodziłam...

- Wcale mi nie przeszkodziłaś. Głowią się jeszcze nad paroma liczbami i przyszedłem po kawę. Nadal cię boli?

Spojrzała na ręce, żeby chociaż w ten sposób ukryć, jak działała na nią bliskość mężczyzny.

- Nie czułam nic, póki nie zapytałeś. - Skupiła się na kanapce.

- Bardzo się cieszę - mruknął i z wprawą przygotował kawę. Z wazy na stole wyjął banana i podał jej. - Na pewno umierasz z głodu. Byłaś zupełnie wykończona, gdy zająłem do twego pokoju.

-Jestem głodna - przyznała. Wzięła banana, nie spojrzawszy mu w oczy. Byli tylko we dwoje, tak blisko... Czuła się podekscytowana i niepewna siebie samej.

Jonas nalał sobie kawy, oparł się o kontuar i pijąc, znad krawędzi filiżanki, wpatrywał się w dziewczynę.

- Czy rodzina pomogła ci zanotować babcine historie?

- Byłam zaskoczona lawiną informacji, jakie zebrałam.

Dowiedziałam się nawet takich szczegółów z jej pożycia z dziadkiem, których ona sama nie zdradziłaby przede mną.

- Na przykład? - Uśmiechnął się lekko.

- Więc... - Jej usta również rozchyliły się w uśmiechu. - W kulturze Miccosukee kobieta jest głową rodziny, a więc to społeczeństwo matriarchalne. Jednak od czasu do czasu władze przejmował dziadek. Jej się to nie bardzo podobało. Któregoś dnia, po jakimś spięciu na tym tle, dziadek poszedł na polowanie i nie wracał. Musiała więc iść po niego i ukorzyć się, aby wrócił do ich cziki. Całe szczęście, że się na to zdobyła, bo inaczej mojej mamy nie byłoby na świecie.

Oczy Jonasa błyszczały łagodnym rozbawieniem i czymś, czego nie mogła odgadnąć.

- Twój dziadek musiał być inteligentnym człowiekiem!

- Wiedziałam, że to powiesz - rzuciła cierpko. W milczeniu, które nagle zapadło, Courtney ze skrepowaniem obierała i jadła banana, i ze

wszystkich sił starała się nie patrzeć w stronę mężczyzny. Atmosfera między nimi zmieniła się. Dziewczyna czuła teraz jego obecność ze zwielokrotnioną mocą. Wpół do drugiej w nocy nie było chyba najbardziej odpowiednią porą na rozmowę. Zwłaszcza wtedy, gdy jakieś wewnętrzne prądy budziły namiętną stronę natury Courtney i Jonasa.

Włożyła skórki banana do pojemnika na śmieci.

- Dzięki za kolację. Chyba teraz zasnę. Dobrej nocy!

- Nie odchodź! - usłyszała jego zdławiony szept, gdy ruszyła ku drzwiom. Wyciągnął ku niej rękę. Poczowała dotknięcie na karku. Nie potrafiła odejść.

- Późno już - wyszeptała, ledwo łapiąc oddech.

- Czy to naprawdę ma dla ciebie jakieś znaczenie? - Jego głos był ochryply, nakłaniający do pozostania. Drugą ręką dotknął jej ramienia.

Chciała się sprzeciwić, bojąc się władzy, którą coraz bardziej zdobywał nad nią. Jednak zniewalające uczucie rozkoszy zaczęło ogarniać jej ciało, dławiąc najmniejszą próbę oporu. Coraz bardziej poddawała się nieustannej natarczywości męskich dłoni.

Cichy jęk wydarł się z jej ust, gdy poczuła wargi Jonasa na delikatnej skórze karku, gdy jego dłonie dotarły na biodra i brzuch.

- Wiedziałem, że tak będzie, jeśli znów cię dotknę - mruknął z niezadowolaniem. - Ale co mogę na to poradzić?! Pragnę cię, Courtney!

Odwrócił ją w swych ramionach i przycisnął wargi dziewczyny swoimi ustami, całując tak, że zabrakło jej tchu. Nieświadomie wtopiła się w niego, zaczęła pieścić plecy, rozkoszując się jego twardością i siłą.

- Biorę cię do mojego pokoju. - Jednym zdecydowanym ruchem porwał dziewczynę na ręce. Wyłączył światło i wyniósł ją do holu.

Courtney, szczęśliwa, że znowu może go tak dotykać, okrywała miękkimi pocałunkami jego twarz, aż westchnął z zadowolenia.

- Jeśli nie przestaniesz, nie będę mógł zanieść cię na górę - ostrzegł, ale ona nie była już w stanie powstrzymać warg, ocierających się o lekką szorstkość jego skóry, naciskających na oczy.

- Courtney! - zawołał błagalnie. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, co robi.

- Przepraszam! - szepnęła w panice. Wykorzystała chwilę zamieszania i wymknęła się z jego ramion. Pobiegła na górę, jakby jej życie zależało od wyniku tego wyścigu po schodach. Ruszył za nią błyskawicznie, schwycił jej rękę w nadgarstku i nie pozwolił dotrzeć do pokoju.

- Tym razem mi nie umkniesz - przysiągł i dosłownie przeciągnął ją przez hol do drzwi swojej sypialni. Lecz tu zdobyła się na zdecydowany opór.

- Ach, to ty, Jonas! - zawołał jakiś kobiecy głos.

- Wydawało mi się, że coś słyszę.

Widok Delii, w maseczce nałożonej na twarz i w nocnej koszuli, zaskoczył Jonasa. Courtney zdołała wyrwać się z jego uścisku i przemknąć do pokoju.

Zza zamkniętych drzwi dochodziły ją głosy rozmawiających. Nie rozumiała słów. Mogła tylko przypuszczać, jak Delia wytłumaczy sobie to, co zobaczyła. A przede wszystkim to ona, Courtney, nie powinna była w ogóle wysuwać nosa z pokoju. Do niczego by wówczas nie doszło.

Zdjęła szlafrok i rzuciła się na łóżko. Musi nad sobą zapanować. Jej ciało jeszcze dygotało od napiętności, którą wzbudził w niej Jonas. Na pewno nie zaśnie. Postanowiła jednak nie brać tabletek.

Musi zapomnieć o wszystkim, co odczuła w jego ramionach. Zapaliła nocną lampkę i wyjęła książkę z nesesera. Jednak nie mogła zdobyć się na jej otwarcie.

Kilka minut później wydawało jej się, że słyszy jakiś szelest pod drzwiami. A może to był tylko wytwór jej wyobraźni? Przez większą część nocy leżała nieruchomo na jednym boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę, czekając, aż zapomni o bólu. W końcu spełniło się jej życzenie i zasnęła. Obudziła się o jedenastej.

Słońce zalewało cały pokój. Kolejny upalny i parny dzień bez jednej kropli deszczu. Natychmiast stanęła pod prysznicem. Potem ubrała się w czyste szorty i bluzkę, posłała łóżko i zeszła do kuchni, gdzie urzędowała Delia.

Gospodyni była dobrze wychowana i zachowywała się tak, jakby w nocy w ogóle nie otwierała oczu. Od razu podała gościowi śniadanie i wyjaśniła, że Jonas już zjadł i pojechał do rezerwatu. Kazał jej dopilnować, aby Courtney niczego nie robiła, tylko wygrzewała się w słońcu i jadła. Przypominał też, że rozprawa jest jutro. Zdaniem Delii powinien wrócić wieczorem, na kolację.

Dziewczyna próbowała ukryć ulgę, jaką sprawiła jej wiadomość, że nie musi widzieć się z nim aż do wieczora. Zjadła posiłek i zatelefonowała do przyjaciółki, Lindy. Umówiły się na podwieczorek w ich ulubionej restauracji. Linda kończyła dyżur pielęgniarski o czwartej i potem była już wolna.

Zawiadomiwszy Delię, że wróci dopiero wieczorem, Courtney zatelefonowała po taksówkę i pojechała do śródmieścia. Zatrzymała się przed bankiem, potem weszła do ekskluzywnego salonu fryzjerskiego w Bal Harbour, gdzie już samo dotknięcie fryzury grzebieniem kosztowało mały majątek. Uważała jednak, że pierwszego obcięcia jej włosów powinien dokonać ekspert.

Nosiła długie włosy z szacunku dla matki i babci. Była to jedna z niewielu danin, jakie składała tradycji. Lecz teraz, gdy zabrakło obu kobiet, nie mogła się doczekać chwili, w której pozbędzie się tej niesfornej grzywy.

Fryzjer przez godzinę omawiał z nią różne rodzaje uczesania. Kiedy w końcu wyszła z salonu, czuła się o parę kilogramów lżejsza. Miętko układające się, jakby rozwichrzone, włosy opadały kaskadą od przedziałka do ramion.

Nowe uczesanie wymagało także nowej sukni i zmiany makijażu. Courtney systematycznie, punkt po punkcie, realizowała swój plan. Kiedy po kilku godzinach wpadła do Luigiego, Linda nie poznała tej szczupłej jak modelka eleganckiej kobiety, ubranej w letnią sukienkę w zielono-białe wzory, w seledynowych szpileczkach, o ustach dotkniętych niezwykle, koralową szminką.

- Linda!

- Oczom nie wierzę! - Drobna blondynka zachłysnęła się, gdy w olśniewającej damie rozpoznała przyjaciółkę. Przemiana była całkowita.

- Zawsze byłaś najpiękniejszą dziewczyną w szkole, ale teraz jesteś po prostu wspaniała! Zaraz pęknę z zazdrości. Co się stało? - Nie mogła się uspokoić.

Courtney zmieszała się. Stał się cud imieniem Jonas. Ciągłe czuła dotyk jego rąk i jego ciała, nachylnego nad nią w cudownym obrzędzie mycia włosów. Trzeba być kompletną idiotką, aby wyobrazić sobie, że ścinając je można zniszczyć pamięć tamtej chwili.

- Zamówmy coś do jedzenia. Zaraz ci wszystko opowiem.

- Czy Jonas zdołał się z tobą skontaktować?

- Linda przeszła natychmiast do rzeczy. Courtney kiwnęła głową i skupiła uwagę na menu.

Dosyć tego, moja panno! - zawołała Linda.

- Chcę wiedzieć o wszystkim. Od początku do końca!

Courtney roześmiała się i odłożyła kartę. W zasadzie nie potrzebowała jej, zawsze tu zamawiała cannelloni.

Błękitne oczy Lindy przyjrzały się przyjaciółce ze wzmożoną uwagą. Przez krótką chwilę obie kobiety milczały. Linda odezwała się pierwsza:

- Jesteś w nim zakochana!

- Tak! - przyznała Courtney drżącym szeptem.

- Wychodzisz za mąż! - ucieszyła się tamta.

- Świetnie! Będę twoją pierwszą druhną!

- Nie! - Courtney nie potrafiła opanować łez, gromadzących się pod powiekami.

- Dlaczego?

- Och, Lindo! - Załamała się i przez kilka minut nie mogła mówić.

W końcu zdołała wykrztusić z siebie opowieść o wszystkim, co zdarzyło się w biurze i podczas tej straszliwej kłótni u niej, w rezerwacie.

Przyjaciółka spoglądała na nią w zadumie.

- Ten człowiek szaleje za tobą - powiedziała po długiej chwili. - Nie mam żadnych wątpliwości. Jeżeli mówi, że ojciec i Laura kłamali, to powinnaś mu wierzyć. Czy, poza omawianiem z Laurą spraw służbowych podczas lunchu lub kolacji, dostrzegłaś choćby najdrobniejszy dowód na to, że coś go z nią łączy?

- Nie! - Courtney potrząsnęła głową.

- Więc o co chodzi?

- Och, Lindo! Gdybyś była przy tym, jak Silas ogłaszał ich zaręczyny...! Nie miałybyś najmniejszych wątpliwości, wierz mi! - Jej głos załamał się na wspomnienie tamtego bólu.

- Nie sądzisz, że to dziwne, a nawet w złym guście, jeśli ojciec ogłasza taką wiadomość? Zwłaszcza pod nieobecność syna? Bo chyba to Jonas powinien mieć przywilej dokonania tego aktu, nikt inny. Na pewno nie jego ojciec. I jeszcze coś. Czy nie mówiłaś, że stosunki między nimi nie układają się najlepiej?

-Tak...

- Zaczynam rozumieć, dlaczego! Courtney, co byś powiedziała, gdyby ojciec nagle zajął się twoimi sprawami i ujawnił tak bardzo osobiste przeżycie tłumowi ludzi?

Courtney zatrzepotała powiekami, uderzona trafnością uwagi przyjaciółki.

- Wściekłabym się! Lecz Silas uwielbia Jonasa. Nie zrobiłby czegoś takiego świadomie. Mógłby utracić syna na zawsze.

- Tego nie rozumiem. - Linda przechyliła głowę. - Może wzięła życzenia za rzeczywistość? Może poprzez Jonasa chce zrealizować niespełnione marzenia? Albo musi czuć się kimś ważnym i

demonstrowanie ojcostwa mu w tym pomaga? Jonas jest nadzwyczajnym człowiekiem. Jednym na milion.

- Wiem! - potwierdziła Courtney szeptem pełnym rozpaczy.

- Taki mężczyzna nigdy nie pozwoli, żeby ktoś decydował o jego przyszłości, czy - przerwała z rozmysłem - wybierał mu żonę. Przemyśl to!

Courtney wpatrywała się w talerz zamglonymi oczami.

-Cały czas myślę... Jednak Laura powiedziała Raynorowi...

- Zrozum, dziewczyno! - Linda rzuciła jej wszystkowiedzące spojrzenie. - Gdyby Jonas chciał się z nią ożenić, zrobiłby to sto lat temu. Mówiłaś, zdaje się, że Laura jest w firmie od pięciu czy sześciu lat...

- Tak powiedział Silas...

- Na twoim miejscu - Linda westchnęła - uwierzyłabym Jonasowi, że to wszystko jest wymysłem. I to by wyjaśniało, dlaczego zerwał z firmą. Czy możesz sobie wyobrazić doskonalszy dla Jonasa sposób na wyplątanie się z tych kłowań, niż zostanie superintendentem?

- Nawet... Nawet, jeżeli masz rację, to nie jestem przekonana, że Jonas przyjął superintendenturę z tych właśnie powodów. Planował kiedyś zająć się polityką. Nie wiem, czy gdzieś w głębi ducha nadal o tym nie marzy.

Linda pochyliła się do przodu i położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- I co w tym strasznego? Nie rozumiem cię. To przecież nie zbrodnia ubiegać się o urząd gubernatora.

- Nie! Oczywiście, że nie! Ja tylko zastanawiam się, z jakich pobudek tak się mną zajmuje.

- Courtney! - zawołała zrozpaczona Linda. - Z jakich pobudek może on stawać na głowie, żeby spędzić każdą wolną chwilę z tobą?! Z miłości!

- Znam kilka innych motywów. Aby zdobyć głosy, postanowił przeciągnąć na swoją stronę te grupy, którym zależy na uratowaniu Everglades. Częścią tego planu jest pozyskanie Indian. Kiedy zobaczył mnie w biurze, dostrzegł wyjątkową okazję załatwienia tej sprawy. Silas nawet podziękował mi w obecności wszystkich za ułatwienie Jonasowi kontaktów ze szczepem mojej matki.

- Uszom nie wierzę! - Linda potrząsnęła głową. - Przecież przed chwilą powiedziałaś, że Miccosukee zaproponowali mu objęcie tego urzędu przed rokiem, kiedy ciebie jeszcze nie było w firmie! Rusz głową, dziewczyno!

- Ale on przyjął nominację dopiero parę miesięcy po naszym spotkaniu, gdy uzyskał potrzebne wiadomości. Tak się mną interesował, i tym wszystkim, w czym wyrosłam, że wyobraziłam sobie, jak idiotka, iż oznacza to coś innego.

- Przecież nie możesz tego wykluczyć!

- Mogę! - odparła Courtney. - Jonas nigdy mi nie zaproponował małżeństwa. Bądźmy szczerze, Lindo! Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie jako panią Jonasową Payne, żonę gubernatora Słonecznego Stanu? No, widzisz... On też nie potrafi. Ale nie ma nic przeciw romansowi na boku. Wiem, że mnie pragnie. Nigdy nie ukrywał tego. Jednak interesy

to już inna sprawa. Bez żadnych skrupułów wykorzysta plemię jako źródło finansowania swojej kampanii. Posiadam na to dowód.

Teraz Linda zamrugła oczami.

- Przedstawiłaś Jonasowi ten dowód?

- Tak. Przyznał się do zatrzymania znacznej części dwudziestomilionowego odszkodowania na finansowanie swego planu.

- I powiedział ci, że przeznacza to na kampanię?

- No, nie...

-Dlaczego nie zażądałaś konkretnego wyjaśnienia?

- Bo go nie potrzebowałam.

- To skąd masz pewność?

- No, nie mam absolutnej pewności... - Zwilżyła usta. - Ale po tym, co Raynor powiedział Laurze, nie wątpię ani trochę.

- Ależ doszliśmy już do wniosku, że te knowania dokonują się za plecami Jonasa.

- Raynor nie wiedział, że go słucham. Prowadził osobistą pogawędkę z Laurą, kiedy wychodziłam z biura. Nie chciałam ich podsłuchiwać.

Zapadło między nimi długie milczenie.

- Courtney! - odezwała się w końcu Linda. - Jestem twoją przyjaciółką. Więc dla twojego dobra powiem coś, co ci się nie spodoba.

Courtney uciekła gdzieś oczami. Pograżała się w bólu i w rozterce.

- Popelniasz błąd, ulegając wpływom innych ludzi. Dlaczego nie zażadasz od Jonasa całej prawdy? Jest wszystkim, tylko nie drapieżnym, czyhającym na okazję potworem. Tak przynajmniej wynika z tego, co mi powiedziałaś. Zobacz, co dla ciebie zrobił. Wydostał cię z tej dżungli

i zaprowadził do lekarza. Przywiózł nawet prezenty twojej rodzinie. A przecież nie musiał. Mogę cię zapewnić, że gdyby ktoś podobny do Jonasa pojawił się w moim życiu, złapałabym go tak szybko, że nie uwierzyłabyś swoim oczom.

Courtney utkwiała w Lindzie pełne bólu spojrzenie.

- W twoim wydaniu wszystko wygląda prosto i jasno. Ale nic takiego nie jest.

- Właśnie widzę. Wybacz mi, że wygarnęłam to, co mi leży na sercu. Nie mogę znieść, że jesteś nieszczęśliwa.

- Nie mam ci nic do wybaczenia. Potrzebowałam tej rozmowy - powiedziała drżącym głosem. - Od dzieciństwa jesteś dla mnie jak siostra. Bardzo ci jestem wdzięczna.

Linda otarła serwetką kąciki ust.

- W tej sytuacji powinniśmy ruszyć stąd i pójść do kina. Na końcu ulicy grają nową komedię. Co ty na to?

Pomysł wydawał się świetny, choćby z tego względu, że odwlekał na parę godzin spotkanie z Jonasem. Rozmowa na jego temat pogłębiła katusze Courtney.

Dwie godziny zabawy przyniosły odrobinę tak bardzo potrzebnego jej spokoju. Gdy o dziesiątej Linda wiozła ją do willi, czuła się przyjemnie zmęczona. Uściskała przyjaciółkę, obiecała jej, że za parę dni zatelefonuje i pobiegła schodami, gubiąc pakunki z zakupami. Naturalnie, wszystko było zamknięte. Już podnosiła palec do dzwonka, gdy ciężkie, dębowe drzwi otworzyły się na oścież. Jonas stanął w nich jak anioł zemsty. Twarz miał pobladłą z wściekłości, zielone oczy zwężone w złe szparki.

Dłoń dziewczyny mimowolnie pobiegła ku szyi, gdy jego wzrok spoczął na jej włosach. Przez trwającą w nieskończoność chwilę milczał, a jego oczy, zamiast zachwytu, jakim niedawno obdarzały ją spojrzenia napotykanych mężczyzn, wyrażały tylko gniew.

- No cóż, nawet nie muszę pytać, gdzie byłaś.

- Usunął się, pozwalając jej przejść, potem zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Silne, opalone na brąz ramiona skrzyżował na szerokiej piersi. Usłyszała, jak pyta półszepem:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Pamiętała przecież odczucia z ostatniej nocy, gdy jego dłonie zagłębiły się w jej włosach.

- Od czasu do czasu każda kobieta musi zmienić uczesanie. - Nie mogła powiedzieć, że ścięcie włosów było w jakiejś mierze reakcją na chwilę własnej słabości.

- Nie jesteś każdą kobietą - powiedział szorstko.

- Przestałaś być podobna do księżniczki Suklatiki.

Dlaczego znów do tego wracał?

- Mężczyźni nie mają pojęcia, ile zachodu wymagają długie włosy...

- O co ci chodzi, Courtney? - przerwał gwałtownie. - Precz ze starym i naprzód w nie wiadomo co? - natarł gwałtownie. - Twoja matka przewróciłaby się w grobie, gdyby taką cię zobaczyła.

Zapłonęła gniewem. Te słowa dotknęły ją do żywego.

- Nie sądziłam, że bycie gościem w twoim domu oznacza, że muszę prosić cię o zezwolenie na każdy krok.

Wyprostował się, a jego ręce zacisnęły się w pięści.

- Jeśli odzywam się, to tylko dlatego, że przebywałem w twoim domu. Asiyaholo nie pozna cię, kiedy następnym razem zawita w Czerwonych Drzewach. - Jego grzmiący głos pełen był dezaprobaty.

Dziewczyna z gniewem uniosła głowę.

- Zanim odbędzie tę podróż, ja będę już w Oklahomie.

- I tak szybko odwrócisz się plecami do plemienia swej matki?

Dobrze wiedział, jak ją dotknąć. Wbiła paznokcie w dłoń, nie czuła jednak bólu.

- To już okrutne, Jonas! Nie twoja sprawa, co ja robię ze swoim życiem.

Stał przed nią obcy człowiek o kamiennej twarzy.

- Mam to powtórzyć Tommie'emu?

- Będę tam jutro rano. - Nie poddawała się. - Chyba że...

- Chyba że znowu uciekniesz. - Pogarda w jego głosie raniła bardziej niż słowa. - Dalej! Uciekaj, Courtney! Ale tym razem nikt cię nie będzie gonił. Dla mnie jesteś martwa, jak drzewo pochłonięte przez pasożyta na Moczarach.

Przypomniała sobie to drzewo i zadrżała.

- O której wyjeżdżamy do sądu? - Zebrała wszystkie siły starając się, aby jej głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

- O ósmej trzydzieści.

- Będę gotowa.

- Nie zdziw się, jeśli na twój widok Tommie zamknie się szczelniej niż małż. Zapewne nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś jeden dzień dłużej poczekać ze zmianą uczesania.

Prawdę mówiąc, Courtney myślała jedynie o przecięciu wszystkich włosów z Jonaszem, uczuciowych i fizycznych. Zmiana uczesania wydawała się pierwszym krokiem w nowe życie bez niego. Nie sądziła, że obcięcie włosów może być odebrane jako symbol zerwania z tradycją Miccosukee. Teraz ból był tym większy, że Jonas jej to uświadomił.

- Jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia na temat Tommie'ego, to idę na górę. - Jakoś zdołała dotrzeć do swego pokoju. Dopiero tam, na łóżku, załamała się.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy tylko sędzia ogłosił wyrok uniewinniający Tommie'ego, Courtney podeszła do wodza.

- Mogę się zabrać z tobą do rezerwatu? Chciałabym porozmawiać o pewnej sprawie.

- Nie jedziesz z Jonasem?

- Nie. - Wiedziała, że on zamierzał zawieźć ją do domu, ale gdy zatrzymał się na kilka minut w izbie sędziowskiej, postanowiła go zostawić.

- No, to jedziemy.

Opuścili sąd i poszli do niedaleko zaparkowanej ciężarówki. Courtney odetchnęła z ulgą, gdy włączyli się do ruchu. Jonas na pewno będzie zadowolony, gdy się dowie, że odjechała bez niego. Przywiezie jej kiedyś neseser do rezerwatu.

- O czym chciałaś rozmawiać, Courtney? Zagryzła wargi. Po rozmowie z Lindą postanowiła szukać prawdy o Jonasie.

- Wiem, że jesteś wdzięczny Jonasowi za wszystko, co zrobił dla naszego plemienia, dla ciebie i Tommie'ego osobiście. Ale jak dobrze go znasz? Czy ufasz mu całkowicie?

Bob nie odezwał się ani słowem. Tommie też milczał. Czasem wódz potrafił być uparty. Męska solidarność!

- To prawda, że Jonas wygrał w Waszyngtonie ogromne odszkodowanie dla plemienia, ale wiem też, że zatrzymał znaczną sumę pieniędzy na jakieś własne przedsięwzięcie. Co o tym myślisz?

Wódz milczał jak zakłęty.

- Nie obawiasz się, że może nieuczciwie wykorzystać tę sytuację? - rzuciła zrozpaczona.

- Rada plemienia wie o wszystkim. Najlepiej zostaw te sprawy starszym. - Tą lapidarną uwagą zamknął jej usta.

Pozostała część podróży do Czerwonych Drzew upłynęła w milczeniu. Kiedy jednak samochód zatrzymał się przed jej domem, wódz powiedział:

- Jesteś taka sama jak matka.

Można było tę uwagę rozumieć na wiele sposobów.

- Chodzi ci o to, że za wiele gadam?

- Nie. Że jesteś paranoiczką.

Paranoiczką? Courtney nie wierzyła własnym uszom!

- Dziękuję ci za pomoc! - Tommie nieśmiało odezwał się po indiańsku.

- Zawsze możesz na mnie liczyć - rzekła w tym samym języku.

- Do zobaczenia, Courtney! Dziękuję, że pomogłaś chłopcu! - powiedział Bob i uruchomił silnik.

- Dzięki za podwiezienie! - zawołała.

Jego słowa dźwięczały w jej uszach, gdy wchodziła do domu. Myślała też o nich zajęta rozpakowywaniem bagażu, który przyleciał helikopterem z osady babci. Jeszcze późno w nocy, gdy wyczerpana kładła się spać, nie mogła się od nich uwolnić.

Zmusiły ją do spojrzenia na matkę po raz pierwszy w innym świetle. Czyżby za niezależnością matki ukrywał się strach nie do przewyciężenia? Czy dlatego rozpadło się jej małżeństwo?

Gryzła się tymi myślami. W rezultacie źle spała. Obudziwszy się nad ranem postanowiła wypytać o to ojca.

Wzięła kilka koszyków i lalek wykonanych przez krewnych i poszła do sklepu. Ku jej zdziwieniu był zamknięty. Rozglądając się zauważyła, że cała osada niemal opustoszała. Zaskoczona tym, pośpieszyła do restauracji.

- Rosa? Gdzie się wszyscy podziali? Chciałam zostawić to w sklepie, ale nie ma tam nikogo.

Rosa spojrzała na nią niechętnie. Była najwyraźniej zaskoczona jej wyglądem.

- Gdybyś choć raz zatrzymała się tu na trochę dłużej, wiedziałabyś, co się dzieje - zbesztła ją. Stara Indianka nigdy nie skrywała niechęci do czegoś, co jej się nie podobało. Tym razem nie była zachwycona uczesaniem dziewczyny. Ale nie potrafiła powiedzieć jej tego wprost.

Courtney nawet przed sobą musiała przyznać, że odkąd ścięła włosy, czuła się jak wyrzutek. Również Bob odwrócił wzrok, gdy ujrzał ją pierwszy raz po wizycie u fryzjera. Okazywał chłód jeszcze po jej wystąpieniu jako świadka w obronie Tommie'ego. Zgodnie z przewidywaniami Jonasa chłopak zwiesił głowę, jakby zawstydzony jej widokiem. A kiedy zaryzykowała spojrzenie w kierunku Jonasa, zobaczyła w jego oczach pogardliwy błysk: - A nie mówiłem?

- Przecież jestem tutaj. - Courtney uśmiechnęła się przymilnie, próbując rozpędzić zły humor starej Indianki. Rosa mruknęła coś i poszła za kontuar przygotować swój słynny chleb.

- Po śmierci babki nie będziemy cię już widywać tak często.

Courtney znieruchomiała zaskoczona.

- Kto ci to powiedział?

- Ludzie.

Gniew ścisnął ją za gardło. Znaczyło to, że Jonas rozmawiał z Rosą na jej temat.

- Czy to prawda? - zapytała ciotka.

- Nie. Gdy tylko skończę w Oklahomie, wrócę do Miami na uniwersytet. Będziesz mnie tu widywać prawie co weekend.

Rosa potrząsnęła głową.

- Kiedy wyjedziesz z Florydy, nie wrócisz tu już nigdy. Tak będzie. Twoja matka nie chciałaby tego.

Dziewczyna jęknęła z rozpaczy. Nic nie było w stanie przekonać Indianki.

- Matka oddała mnie ojcu, żebym mogła znaleźć miejsce w białym społeczeństwie i zapracować na życie. To wcale nie znaczy, że nie kocham swego rodzinnego domu.

- Źle wówczas zrobiła.

- To twoje zdanie. Nie rozumiesz tego, że antropologia jest moim sposobem na życie, tak jak restauracja twoim.

- Nie na długo, prawda? - Podała dziewczynie szklanekę soku i bułkę.

- Robisz się tajemnicza - mruknęła Courtney. - A czy ty zdecydowałaś się wyjść za Eddie'ego i zamieszkać na Szlaku?

Eddie chciał ożenić się z Rosą odkąd została wdową.

- On może poczekać. Najpierw muszę uzyskać niezależność finansową.

- I jak masz zamiar ją osiągnąć? - zapytała Courtney z ustami pełnymi bułki.

- Wchodzę w interes hodowlany.

Przez chwilę dziewczyna była pewna, że się przesłyszała.

- Czy to znaczy, że przeprowadzasz się do Montany? - zażartowała.

Usta Rosy pozostały uparcie zaciśnięte.

- Zostaję tutaj, bo tu jest moje miejsce. -I poprowadzisz tę hodowlę?

- Właśnie. Posiadam już dwieście sztuk bydła. Courtney zakrztusiła się kawałkiem bułki i sięgnęła po sok.

- Co posiadasz?

- Dobrze słyszałaś. Tu wszyscy są właścicielami bydła.

- Od kiedy?

- Od trzech tygodni.

- Co się stało przed trzema tygodniami? - Dyskusja z Rosą przypominała rozmowę z Bobem Willie'em. Nigdy nie mówili jej wszystkiego. Musiała wyciągać z nich słowo po słowie. Można było oszaleć!

- Rada postanowiła kupić bydło.

- Ale za co? To kosztuje setki tysięcy dolarów!

- Zgadza się.

- Skąd wziąć takie pieniądze?!

- Stąd.

- Nikt w tym rezerwacie nie ma pojęcia o hodowli bydła! - Zerwała się od stołu, zapominając o reszcie śniadania.

- Jonas ma.
- Mogłam się tego spodziewać - wyszeptała blada Courtney.
- Czemu się wściekasz? Przecież nie obchodzi cię, co się tu dzieje.

Przecież wkrótce nas opuścisz.

- To nie ma znaczenia.
- Ma. Jeśli tu nie mieszkasz, to nie masz prawa do wygłaszania opinii.

- Jeszcze się nie wyprowadziłam!
- Zmieniłaś się. To na jedno wychodzi. - Rosa była uparta jak...
- Bo zmieniłam uczesanie?
- Matka by na to nigdy nie pozwoliła.
- Czemu ciągle zapominasz, że mam białego ojca? - zawołała z żarem.

- Ha! - parsknęła Indianka. - Jakbym mogła o tym zapomnieć?! Jesteś do niego podobna. Ale on szanował nasze obyczaje.

- Za co oboje z matką zostali zmuszeni do życia poza rezerwatem.
- Nikt nie zmusza ciebie, Courtney! - Czarne oczy Rosy przeszywały dziewczynę. Rozmowa utknęła w martwym punkcie.

- Czy byłabyś na tyle uprzejma, żeby powiedzieć mi, dokąd wszyscy poszli? - zapytała Courtney lodowatym tonem.

- Jonas i szef zwołali w szkole zebranie z ludźmi z Towarzystwa Hodowców. Było już spotkanie z kobietami. Szkolimy się w hodowli.

- Żartujesz, nieprawdaż? - Courtney była zaskoczona.
- Dwieście sztuk bydła na każdego mieszkańca rezerwatu to nie żarty. Na sfinansowanie tego interesu zostały przeznaczone pieniądze z

odszkodowania. Jonas ponad rok pracował ze starszyzną nad tym planem. Za jakiś czas plemię zarobi na tym prawdziwe pieniądze!

- Gdzie będziecie paść to bydło?

- Na ziemi odzyskanej od rządu, rzecz jasna!

Courtney poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Czyżby odkryła przedsięwzięcie, które przygotowywał Jonas? Nagle poczuła się słabo i upuściła na ziemię lalki i koszyki, które trzymała w ramionach.

- Co ci się stało? - zapytała Rosa i przyjrzała jej się uważnie. - Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

Courtney nie mogła mówić. Zostawiła rozsypany towar na podłodze i wybiegła z restauracji. Musiała odnaleźć Jonasa! Napięcie ścisnęło jej żołądek, gdy zbliżała się do szkoły, gdzie zebrało się co najmniej pięćdziesięciu Indian. Nie chciała im przeszkadzać, stanęła więc za plecami zgromadzonych i słuchała wykładowcy i pomagającego mu tłumacza. Jonas siedział na podium obok Boba i jakiegoś nieznanego.

Zebranie zakończyło się dopiero po godzinie. Jonas zauważył ją, ale nie zareagował na jej obecność. Musiała go znaleźć, lecz bała się odtrącenia. Po tym, jak zniknęła z sądu bez słowa, nie umiała sobie wyobrazić, jak ją przyjmie.

Mężczyźni jeden po drugim przechodzili obok niej. Odwracali oczy. Zebrawszy całą odwagę podeszła do przodu i czekała, aż Jonas skończy rozmowę z jednym ze swych gości. Obdarzył ją pogardliwym spojrzeniem,

- Jonas! Czy mogę porozmawiać z tobą przez chwilę?

- Jeśli masz jakieś pytanie do tych panów, to zadaj je podczas następnego spotkania z kobietami.

Brodaty blondyn, z którym rozmawiał, sprawiał wrażenie gotowego do udzielenia odpowiedzi na każde jej pytanie.

- Nie ma sprawy, Jonas! - powiedział i uśmiechnął się do niej, tak samo jak i drugi nieznajomy. Obaj byli bardziej zainteresowani dziewczyną niż dyskusją, jaką prowadzili, lecz to tylko bardziej rozwścieczyło Jonasa. Napotkała jego lodowate spojrzenie i poczuła, jak żelazna obręcz, zaciskająca się wokół jej klatki piersiowej, nie pozwala na oddychanie.

- Jonas! - Spojrzała na niego błagalnie. - Muszę pomówić z tobą, zanim wyjedziesz.

- Czy w sprawach plemienia? - zapytał z szorstkością, która zaszokowała dziewczynę.

- W pewnej mierze tak - przytaknęła niezbyt przekonująco.

- Przepraszam na chwilę - mruknął do gości. Ujął jej łokieć, odprowadził na bok i puścił, jakby go paliła. - Mów, co masz do powiedzenia. Dysponuję tylko jedną minutą.

Zagryzła wargi. Jonas uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę. W dodatku jego bliskość przeszkadzała w koncentracji.

- Mogę potrzebować trochę więcej czasu.

- Jak widzisz, jestem zajęty. Zwróć się do Boba. Drżącą ręką musnęła grzywkę.

- Tylko ty możesz odpowiedzieć na te pytania.

Jego usta zacisnęły się.

- Więc zatelefonuj do mojej sekretarki i umów się na wizytę.

Zachwiała się jak od uderzenia.

- Czy to zawziętość z premedytacją, czy też pospolite grubiaństwo?

- Czuję się zaszczycony... Minęła twoja minuta, Courtney!

- Jonas! - szepnęła tracąc zmysły. - Proszę cię, nie bądź taki!

Muszę porozmawiać z tobą.

Milczenie zdawało się nie mieć końca.

- Jak powiedziałem, możesz skontaktować się z moją sekretarką.

Numer telefonu jest zapisany na tablicy u Rosy. Teraz już muszę iść. -

Odszedł do gości i nie obejrzał się za siebie.

Courtney wyszła z sali. Dobrze do restauracji. Nie odpowiedziała na pytający wzrok starej kobiety. Przeglądała komunikaty wywieszane na tablicy, aż znalazła służbowy adres i numer telefonu Jonasa.

Domyśliła się z nich, że otworzył biuro w Miami, nie zaś w Miami Beach. Na drugim biegunie od kancelarii prawniczej Payne'ów w Bal Harbour.

Wywieszka informowała, że każdy z mieszkańców rezerwatu, kto potrzebuje pomocy Jonasa, może dzwonić do niego za darmo o każdej porze dnia i nocy. Courtney na pewno potrzebowała odpowiedzi na kilka pytań, jeśli chciała zaznać choć odrobinę spokoju.

Niczego nie wyjaśniając, poprosiła Rosę o ołówek i papier, i zapisała dane z ogłoszenia. Potem z restauracyjnego telefonu połączyła się z sekretarką i poprosiła o wyznaczenie terminu spotkania.

Następnego dnia o trzeciej po południu siedziała w poczekalni biura Jonasa.

-Pan Payne zaraz panią przyjmie - oznajmiła sekretarka, wróciwszy z gabinetu Jonasa.

Dziewczyna poczuła ukłucie zazdrości. Nie mogła znieść myśli, że inna kobieta ma prawo do jego pełnej uwagi. Kontakty sekretarki z szefem przypominały w jakiejś mierze stosunki między mężem a żoną. Nawet jeśli teraz miały one służbowy charakter, mogły zawsze się zmienić. Nieraz tak bywało. Historia jej związku z Jonaszem była tego najlepszym dowodem.

Courtney przeszła obok urzędniczki i znalazła się w pokoju prawnika. Było to proste wnętrze z biurkiem i trzema krzesłami. Miejsce, które z pewnością nigdy nikogo nie onieśmieli, a gdzie Indianie z rezerwatu poczują się swobodnie. To idealnie odpowiadało rodzajowi pracy głównego lokatora wnętrza.

Jonas siedział na obrotowym krześle ubrany w koszulę koloru khaki. Wyblakła zieleń stanowiła fascynujące tło dla jego brązowej skóry i czarnych włosów. Zdażył je ostrzyć po rozprawie, choć bez względu na to, jak się czesał, był najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego spotkała.

- Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć - zaczęła. Usiadła przy biurku na jednym z metalowych składanych krzeseł. Cyniczne spojrzenie Jonasa kazało jej od razu przejść do rzeczy. - Czy mógłbyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

- To zależy. - Przygryzł koniec ołówka.

Nie miał zamiaru niczego jej ułatwiać. Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nie mogła go za to winić.

- Czy hodowla bydła jest tym przedsięwzięciem, o którym powiedziałaś, gdy spytałam cię o odszkodowanie?

- Owszem. - Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. -

Omawialiśmy z Bobem opłacalność hodowli bydła w rezerwacie. Mamy nadzieję, że stanie się ona prawdziwym interesem dla plemienia. Ta ziemia należała do Miccosukee i przed laty została im nielegalnie zabrana. Teraz wróciła w ich posiadanie.

Zrobiło jej się słabo.

- A ty zakupiłeś bydło z zysku? - Pytanie było czysto retoryczne. Znała bowiem już odpowiedź.

-Tylko część pieniędzy została zainwestowana. Rada planuje budowę nowego szpitala w rezerwacie. Ale na to przyjdzie jeszcze poczekać.

- Jonas... - Nie mogła usiedzieć. Zacisnęła dłonie na krawędzi biurka. - Nie miałam pojęcia... - Oczami szukała jego wzroku. - Dlaczego nie mówiłeś mi o niczym, kiedy się spotykaliśmy?

- Aczkolwiek byliśmy wówczas bardzo blisko ze sobą, nie miałem zgody starszyny na dyskutowanie tej sprawy z nikim, nawet z tobą. Zostałem wynajęty w celu wykonania pewnego zadania i byłem zobowiązany do zachowania planów w tajemnicy. Straciłbym zaufanie rady, omawiając projekty z innymi osobami.

Mówił prawdę. Wiedziała o tym. Był człowiekiem honoru i tym zdobył podziw i szacunek wszystkich członków plemienia.

- To, co zrobiłeś, może zrewolucjonizować życie w rezerwacie - powiedziała, nie skrywając podziwu.

- Wstyd mi, że źle cię osądziłam. Mogę tylko cię przeprosić za to. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Przyjmuję przeprosiny - powiedział obojętnie.

- Jesteśmy dopiero na początku drogi, Courtney. Czas pokaże, czy nasza koncepcja będzie bardziej pożyteczna niż te, z którymi w przeszłości występowali inni.

- Może się nie udać tylko wtedy, jeżeli zrezygnujesz i przekażesz stanowisko komuś bez twoich zdolności i wiedzy.

Wyprostował się na krześle. Mięśnie jego twarzy stężały.

-Jestem człowiekiem rzucającym się na każdą okazję albo ekspertem wizjonerem. Który z tych portretów jest prawdziwy, Courtney?

- Teraz wiem, że się myliłam. - Jej twarz płonęła. -Możesz mną gardzić. Chcę tylko powiedzieć... Mam nadzieję, iż pokierujesz tym przedsięwzięciem tak długo, aż zaczniesz przynosić rezultaty.

Wstał z krzesła i powoli wyprostował się.

- Czy ja gdzieś odchodzę? - spytał niebezpiecznie łagodnym głosem. - Masz zadziwiającą łatwość czytania w moich myślach i pojmowania moich zamierzeń lepiej niż ja.

Wzięła głęboki oddech.

- Czy Bob Willie wie, że stanowisko superintendenta może być tylko odskocznią?

- Odskoknią do czego? - syknął z taką groźbą, że odsunęła się o krok od biurka.

-Jonas... Znam środowisko, z którego pochodzisz. Chociaż w tej chwili możesz się tym nie interesować, jest jednak prawdopodobne, że

w najbliższej przyszłości zmienisz zdanie i zdecydujesz się na działalność polityczną. Upadek twojego planu hodowlanego, w czasie gdy plemię ożywiło się pod twoim kierownictwem, byłby tragedią. Ludzie mojej matki potrzebują kogoś, kto zostałby z nimi na całe życie. To jedyny sposób, aby jakaś nowa idea porwała ich i przyniosła im sukces.

Ku jej zdziwieniu Jonas usiadł, a jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Wydawało się, że minęły godziny, zanim rzekł:

- Jeśli przyszłaś tu z przeprosinami, uznajmy to za załatwione.

Teraz mam inne sprawy na głowie. Chyba wiesz, jak stąd wyjść. -

Przywołał brzęczykiem sekretarkę. - Poproś następnego gościa, Cindy.

A potem pójdziemy na kolację.

Courtney została wyproszona.

- Do widzenia, Jonas! - wyszeptała. Napięcie aż do bólu ścisnęło jej gardło. Potknęła się, próbując uciec z biura, zanim zdoła zrobić z siebie kompletną idiotkę.

Było po dziewiątej, gdy zajechała pod dom w rezerwacie i weszła do środka. Wreszcie będzie mogła dać upust rozpaczy. Nigdy nie powinna była pójść do jego biura! Pogorszyła tylko sytuację, jeśli to jeszcze w ogóle było możliwe.

Podskoczyła na odgłos pukania do drzwi. Śmieszne, lecz pomyślała, że może to Jonas i z nadzieją przebiegła przez pokój.

- Rosa!

- A spodziewałaś się kogoś innego?

Courtney trzęsącą się ręką przygładziła włosy.

- Nie! Skądże znowu? Wejdz!

Rosa została jednak przed drzwiami.

- Dziękuję, ale już późno. Jestem zmęczona. A po tobie widać, że powinnaś się położyć już dawno temu. Przysyła mnie Bob Wilie.

-Z czym?

- Rada plemienia postanowiła, że Jonas może uczestniczyć w obrzędzie Tańca Zielonej Kukurydzy. Będzie jednak potrzebował tłumacza. Bob chce, żebyś ty nim była.

Courtney spojrzała ostro w twarz Rosy.

- Od lat obcy nie uczestniczyli w tych obrzędach.

- To prawda. Ale rada robi wyjątek dla Jonasa, ponieważ jest nowym superintendentem. Bob uważa, że nauczy się przy tym wiele i że to mu się przyda.

Dziewczyna była zaskoczona tym, iż Bob pozwala Jonasowi uczestniczyć w najświętszych obrzędach plemienia. Oznaczało to, że Jonas jest teraz jednym z nich.

- Mnie już nie będzie. Niech Bob znajdzie kogoś innego.

- Skąd możesz wiedzieć, że ciebie nie będzie? Jedyne Charlie zna datę uroczystości, a jeszcze nie wyjawiał jej nikomu, nawet radzie. Ale to będzie niedługo.

- Nie mogę tego zrobić. - Courtney uparcie potrząsnęła głową.

- Będziesz musiała. Jesteś jedyną osobą z naszego plemienia, która może tłumaczyć tak, aby Jonas wszystko zrozumiał.

- Powiedz mu, że bardzo mi przykro, ale w przyszłym tygodniu odwiedzam ojca przed wyjazdem do Oklahomy.

- Bob nie będzie z tego zadowolony. - Odwróciła się i zniknęła w nocy, pozostawiając Courtney jeszcze bardziej roztrzęsioną.

Była czwarta nad ranem, a ona jeszcze nie zmrużyła oka. Nawet gdyby nie wyjeżdżała, w żaden sposób nie mogłaby współpracować z Jonaszem. On zresztą nigdy by się na to nie zgodził. Bob nie miał pojęcia o rzeczywistym stanie stosunków między nią a prawnikiem.

O piątej Courtney zrezygnowała ze snu i wzięła prysznic. Potem zabrała się za gruntowne sprzątanie. Musiała czymś się zająć, aby nie myśleć. Nic jednak nie pomagało. Chciałaby już w tej chwili lecieć do Zairu i już nigdy nie wrócić na Florydę. Pod tym względem Rosa miała rację.

O ósmej była gotowa wyruszyć w podróż do Miami Beach na śniadanie z Lindą, która organizowała przyjęcie na pożegnanie jej. To ładnie ze strony przyjaciółki, ale Courtney nigdy nie lubiła żadnych uroczystości.

Bob Willie odnalazł ją, gdy uruchamiała silnik.

- Cześć, Courtney!

Jęknęła na dźwięk jego głosu.

- Cześć, Bob!

- Rosa mówi, że nie pomożesz nam podczas Tańca Kukurydzy.

- No właśnie. Wyjeżdżam poza Florydę.

- Starszyzna chce, żebyś tłumaczyła.

- Wiem o tym. Jednak nie mogę.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Od dziś za tydzień.

- Świetnie! Bo ceremonia zaczyna się pojutrze. Będziesz miała dosyć czasu.

- Sądziłam, że Charlie jeszcze nie ogłosił daty.

- Powiedział mi dziś rano.
- Mimo to nie mogę.
- Nie widzę tu żadnego problemu. Jesteś dokładnie taka jak matka.

Mówisz: nie. A myślisz: tak.

- Nie prosź mnie, Bob!
- Nie możesz odmówić radzie, jeśli już ogłosiła swoją wolę. Na dodatek postanowiła, że masz zarejestrować przebieg obrzędów na taśmie magnetofonowej.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się w totalnym niedowierzaniu.

- Dlaczego na to pozwalają?
- Jonas wyjaśnił, że twoja praca jest ważna dla zachowania naszej kultury. A ja się z nim zgadzam. W przeciwnym wypadku moje wnuki w mieście mogłyby już niczego nie wiedzieć o naszych obyczajach i obrzędach.

Cóż mogła na to powiedzieć?! Dają jej okazję do nagrania pieśni i hymnów najświętszej i najstarszej ceremonii Miccosukee. Okazują więc absolutne zaufanie, wyrażają się o niej z najwyższym uznaniem. Jakże szczęśliwa byłaby matka, gdyby żyła! Nie ukrywają, jak bardzo są pod wpływem Jonasa. On jeden wie, że zależy jej na włączeniu analizy rytuałów Tańca Kukurydzy do doktoratu. Jeszcze raz zaciągała u niego dług wdzięczności, którego nigdy nie spłaci.

- Czy Jonas wie, że mam tłumaczyć?
 - Oczywiście! Uważa, że to najbardziej logiczny i trafny wybór.
- Oparła głowę o ściankę kabiny.
- Zgoda, Bob! Zrobię to. Powiedz starszyźnie, że czuję się zaszczycona tym przywilejem.

- Powiem.
- Gdzie to się odbędzie?
- Rosa ci pokaże.

Pożegnali się. Courtney prowadziła wóz jakby zamroczona. Choć z najwyższym trudem, zmuszała się do przyznania, że niezwykle ją podnieciła perspektywa spędzenia paru dni z Jonaszem, zanim ostatecznie się rozejdą, każde w swoją stronę.

Matka pozwoliła uczestniczyć Courtney w Tańcu Kukurydzy, gdy ukończyła trzynaście lat. Jednak oglądanie go u boku Jonasa będzie czymś zupełnie innym. Zwłaszcza że ceremonia potrwa cztery dni i noc. Na myśl o znalezieniu się przy nim fala pożądania ogarnęła jej ciało. Będzie musiała jakoś zamaskować swe uczucia, gdy znajdą się razem. On natomiast, po wczorajszych wydarzeniach, nie powinien mieć tego rodzaju kłopotów.

Jak zwykle, panował nad jej myślami podczas całej podróży do miasta. Prawdę mówiąc, była nim tak zaprzątnięta podczas śniadania, że naraziła się na uwagę Lindy. To z kolei wzbudziło w niej poczucie winy. Jej przyjaciółka zadała sobie tyle trudu, aby wydać dla niej przyjęcie w nadchodzący weekend! Courtney mogła myśleć tylko o Jonasie i wyobrażać sobie, co będzie, gdy zobaczą się raz jeszcze.

Przeprosiła przyjaciółkę i próbowała wykazać entuzjizm wobec jej planów. Linda jednak знаła ją zbyt dobrze i zaproponowała, by omówić je innego dnia. Nie doszła jeszcze do siebie po nieszczęśliwej miłości, ale umiała odczytywać tego rodzaju sygnały.

Przez resztę dnia Courtney była zajęta na uniwersytecie, wieczorem zaś wróciła do rezerwatu. U Rosy panowało niezwykle

podniecenie. Tommie, syn wodza, planował oświadczyć się pewnej dziewczynie podczas Tańca Kukurydzy. Mieszkała przy Szlaku, a jej rodzice chcieli, aby starano się o nią w tradycyjny sposób.

Gdy jadła obiad i gawędziła z Tommie'em, pojawił się Frank Bird. Zauważyła, że ma ochotę się przysiąc, ale nie miał odwagi widząc, jak jest zajęta. Wyszedł w końcu, a ona dalej rozmawiała z Tommie'em, którego oczy jaśniały blaskiem szczęścia i nadziei. Zazdrościła mu ogromnie tego, że chce i może ze spokojnym sercem sięgnąć po ukochaną.

Wróciła do siebie w melancholijnym nastroju i znowu źle spała. Wczesnym rankiem do drzwi zastukał Asiyaholo z jeszcze jednym kuzynem. Przyłączyli się do Tańca Kukurydzy, ale przed ceremoniami chcieli zapolować. Poczęstowała ich śniadaniem. Asiyaholo wydawał się zadowolony z tego, że Jonas będzie obecny na ceremonii Tańca. Chciał porozmawiać z nim o przynętach.

Później tego dnia odkryła, że większość mieszkańców rezerwatu udała się na utrzymywane w tajemnicy miejsce w pobliżu Szlaku Tamiami, aby oczyścić tereny do tańca i naprawić szalasy przed zaczynającymi się nazajutrz obrzędami.

Jonas nie pojawił się, ale nie wątpiła, że o świcie przyjdzie na umówione miejsce. Już podczas wyprawy do rodziny pojęła, że Jonas we wszystkie swoje przedsięwzięcia angażuje się bez reszty. Naprawdę szanuje Indian i sposób ich życia.

Następnego ranka, gdy niebo zaczynało różowieć, Courtney ubrała się w strój Miccosukee. Nie umalowała się, ale z włosami niczego nie mogła zrobić. Pozwoliła sobie jedynie na odrobinę ulubionych perfum.

Jonas zawsze zwracał uwagę na szczegóły. Dlatego też chciała, ażeby ostatniego wspomnienia o niej nie mógł wymazać z pamięci.

Wiedziała, że nigdy już nie uwolni się od Jonasa, nawet gdyby miała żyć tak długo, jak babcia. Nie wyobrażała sobie małżeństwa z nikim innym. Pewnie dlatego odczuwała tak obezwładniającą przyjemność za każdym razem, gdy myślała o czterech dniach z Jonaszem.

Po śniadaniu, w towarzystwie Rosy wyruszyła ciężarówką ze sprzętem magnetofonowym na miejsce obrzędów.

- Jonas czeka na ciebie - rzekła Indianka, gdy podjechali pod sosnowy zagajnik.

Courtney zauważyła go natychmiast. Miał na sobie dzinsy i białą sportową koszulę, ciasno opinającą jego tors i ramiona, ukazującą jego siłę. Gdy zwrócił ku nim głowę dostrzegła, że jest bardzo spięty.

Jak zawsze, uległa jego urokowi. Wystraszyła się na myśl, że nie przeżyje następnych kilku minut, nie mówiąc już o całych czterech dniach i nocach, nie rzuciwszy mu się w ramiona.

- Dzień dobry Courtney i Roso! - Skinął im głową. Pomógł starszej kobiecie wysiąść z ciężarówki, po czym podszedł ku drzwiom kierowcy. Courtney jednak, przewidziawszy jego zamiar, wyskoczyła wcześniej i zajęła się wyładunkiem aparatury z tyłu wozu.

- Zobaczymy się później! - wymamrotała Rosa i poszła ku jednemu z odległych szałasów. Kobiety pracowały w kuchni, mężczyźni zaś zbierali się i przygotowywali do rozpoczęcia obrzędów.

Jonas pomógł jej wyjąć sprzęt. Gdy przyglądał się dziewczynie, w bladym świetle poranka oczy błyszczały mu dziwnym, szmaragdowym

blaskiem. Mimo wszystko zmusiła się i spojrzała w jego zachmurzoną twarz.

- Gdyby nie ty, nigdy nie dano by mi tej możliwości. Bardzo ci jestem wdzięczna, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

- Dlaczego mi dziękujesz? To rada podjęła tę decyzję - mruknął obojętnie.

- Ponieważ umiesz sprawić, aby ludzie robili to, co chcesz i nie zdawali sobie z tego sprawy...

- ...i nigdy nie myśleli o kosztach - dokończył z goryczą.

- Nie powiedziałam tego.

- Pamiętam, że kiedyś tak.

-Już... Już przepraszałam za to - wyszeptała. Była roztrzęsiona. - Mam być twoją tłumaczką. Wolałabym, abyśmy udawali, że ciągle jesteśmy przyjaciółmi.

- A więc tym, kim nigdy nie byliśmy... Bo ty nie rozumiesz znaczenia tego słowa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Bob Willie ciągle powtarza, że jestem taka sama jak matka. A ona była samotnikiem. Myślę, że coś w tym może być. - Gratulowała sobie spokoju, z jakim mówiła. Głęboko w sercu boleśnie utkwilo żądło jego oskarżenia.

- Do diabła! - zaklął Jonas. Jego głos był naładowany emocją. - Nie powinienem tak mówić.

Otarła wilgotną dłoń o biodro.

- Czemu nie?! To prawda. Odsądzałam cię od czci i wiary na podstawie tego tylko, co mówią ludzie.

Przez nie kończąca się chwilę patrzył w jej oczy.

-Z ciekawości tylko... Kto w biurze przekonał cię, że chcę wykorzystać fundusze plemienne na finansowanie swojej kampanii?

- Wolę nie mówić.

- Twoja lojalność wobec Silasa jest wręcz zadziwiająca.

- To nie był twój ojciec! - rzuciła. Nie chciała dawać mu jeszcze jednego powodu do niechęci wobec ojca.

Nie zadowolił się odpowiedzią.

- Byłaś z nim w takich stosunkach, jak nikt inny w biurze. Skąd to się wzięło?

Nie wiedziała, o co mu chodzi. Przypuszczała, że jest zły.

- Często dyktował mi coś, gdy wszyscy już wyszli. Pracowałam na drugiej zmianie, więc przychodził do sali komputerów i rozmawiał ze mną. Zupełnie przypadkowo dowiedział się o moich zainteresowaniach genealogią, a ponieważ jest to i jego hobby, zaprzyjaźniliśmy się jakoś.

- A że ty umiesz słuchać, więc zaczął się zwierzać. Czy tak?

Odrzuciła głowę do tyłu.

- Nie nazwałabym tego zwierzeniami, ponieważ on każdemu bez przerwy opowiada o tobie. Oczywiście wiesz o tym, że ubóstwia ziemię, po której stapasz. Jest pod tym względem bardzo podobny do mojego ojca. Może taka jest cena za to, że jesteśmy jedynymi dziećmi...

Jonas przyczesał dłonią czarne włosy.

- Powiedz mi teraz o Tańcu Kukurydzy. Raptowna zmiana tematu zdziwiła dziewczynę.

Była jednak z tego zadowolona.

- To główna ceremonia religijna Miccosukee. Starsi poszcą, dzieci otrzymują imiona, kojarzone są małżeństwa, zbiera się sąd plemienny...

- A co teraz się dzieje? - Jego spojrzenie pobiegło ku mężczyznom i chłopcom gromadzącym drewno.

- Szaman bierze rytualną kąpiel. Będzie później kierował całą uroczystością. Potem mężczyźni zagrają z kobietami w piłkę.

- Będę mógł w tym uczestniczyć?

- Bob Willie spodziewa się tego. Wieczorem odbędą się tańce, a Tommie oświadczy się dziewczynie, z którą chce się ożenić.

- Tylko Tommie?

- Każdy młodzieniec, myślący o ożenku, może zatańczyć z dziewczyną, o którą się stara.

-I co potem?

- Jeśli ona okaże zadowolenie... - z trudem przełknęła ślinę -
...uśmiechem lub błyskiem oczu, albo ruchami, wtedy chłopiec może z

nią odejść i rozmawiać. Może nawet poprosić, aby się pożywiła u jego ogniska. Jeśli wszystko pomyślnie się rozwinie, on zacznie ją adorować. Ale nie będą się całować. Ona zje mięso jelenia, którego on zabije. A kiedy rodzice obojga młodych wyrażą zgodę, zostanie wyznaczony dzień ślubu.

- Gdzie on się odbędzie?

- W tym szczególnym dniu ona będzie czekać na niego w rodzinnej cziki, niecierpliwie wyglądając na ścieżkę. A o zachodzie słońca on się pojawi, jeśli oczywiście w ogóle to zrobi.

Głos jej zadrzał. Ujrzała siebie, czekającą wiernie na Jonasa, świadomą, że nigdy po nią nie przyjdzie. Po tym, jak go skrzywdziła, na pewno nie.

- I co dalej? - przynaglił ją. - Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Więc ona mu powie, jak bardzo jest szczęśliwa, że przyszedł. On wtedy przekroczy próg cziki. I od tej chwili rozpoczną wspólne życie.

- Żadnych przysiąg?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Wszystko jest już przesądzone, ponieważ podczas Tańca Kukurydzy wyjawili, co czują do siebie, a cały szczepek przyjął to do wiadomości.

- Gdyby wszyscy zawierali małżeństwa z taką prostotą, większość moich kolegów po fachu byłaby bezrobotna - powiedział, nieznacznie się uśmiechając. - A jeśli kobieta zmieni zdanie?

- Nie zaprasza go wtedy do cziki i on odchodzi.

- Nie walczy o nią?

- Nie. Jedno może przyjść do drugiego tylko z własnej woli.

Miccosukee nie znoszą przemocy.

- Nigdy?

- Na ile mi wiadomo. Jonas przygryzł wargi.

- Czy twój ojciec uczestniczył w Tańcu Kukurydzy?

Z każdym jego pytaniem czuła się bardziej nieswojo.

- Nie. Jesteś jednym z niewielu białych, których zaproszono na uroczystości.

Usłyszała, jak bierze głęboki oddech.

- Chyba więc powinienem pójść tam i pomóc im w zbieraniu drewna.

- Wieczorem zostanie rozpalone ogromne ognisko, a przed tańcem narzeczeńskim odbędzie się kilka innych tańców rytualnych. Idź pomóc mężczyznom, a ja przygotuję magnetofony. Odszukaj mnie, gdy zgłodniejesz. Pójdziemy coś zjeść do któregoś z szałasów. Rosa przygotowuje bażanty. Są znakomite!

- Znajdę cię - obiecał.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Jego pewna siebie męskość i sposób bycia poruszały ją głęboko. Gdyby obchodziła go choć trochę, jak kiedyś... Zatańczyłyby z nią tego wieczoru. Uśmiechem powitałaby jego spojrzenie. Każdym ruchem ciała powiedziała mu, że chce żyć z nim na zawsze. Usiadłaby obok niego przy ognisku, jadła jego żywność i przytuliłaby się do niego, gdy wielki księżyc wzejdzie nad Everglades.

Jeden ze starszych kiwnął na nią. Wróciła do rzeczywistości.

Udała się za nim na miejsce wyznaczone dla jej aparatury i zaczęła ją montować. Potem poszła do kuchennej cziki, by pomóc Rosie. Późnym popołudniem zajęła się nagrywaniem obrzędów.

Taniec Czaplego Pióra był tak stary, jak plemię Miccosukee. Kiedy Courtney nagrywała pieśń, Jonas przyglądał się rytuałowi z niezwykłym napięciem. Płomienie ogniska lizały atłasowe niebo i rzucały migotliwe cienie na ciemną skórę gościa, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami w półkolu z innymi mężczyznami.

Serce Courtney tłukło się w piersi za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Jego oczy błyszczały tego wieczoru jak szmaragdy, ale przez cały obrzęd ani razu nie spojrzały ku niej. Jak inni, skupił całą uwagę na tańczących. Równie dobrze mogło jej tam w ogóle nie być.

Urażona jego obojętnością wróciła do ciężarówki po kasetę, aby zapewnić sobie zapasowe nagranie. Nie wiedziała, jak długo potrafi znieść widok młodych zakochanych, odtwarzających miłosny rytuał, gdy wśród widzów był Jonas. Ulegała czarowi tej nocy. Nie mogła już dłużej skrywać miłości do niego.

Jeden po drugim młodzi mężczyźni podnosili się i kroczyli ku swoim wybrankom. Courtney patrzyła, jak ukochana Tommie'ego szła za nim w stronę tańczących, a potem kołysała się w rytm pieśni to przed nim, to za nim, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jego oczu.

Tommie stał dumnie wyprostowany z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Nie powinien na nią patrzeć, a tylko udawać, że jej nie widzi. Jednak raz po raz jego spojrzenie obejmowało ukochaną z całą niewinnością i radością młodej miłości. Ta scena wzruszyła Courtney niemal do łez.

I wtedy nastąpiło coś, czego właściwie powinna się spodziewać. Frank Bird wstał i ruszył w jej stronę. Rosa ostrzegła ją wcześniej, ale Courtney nie potraktowała poważnie słów Indianki. Co gorsza, nie

siedziała wśród innych kobiet i dziewcząt. Jego napięta twarz wzbudziła w niej niechęć.

Wiedziała, że odmawiając mu tańca urazi go głęboko. Z drugiej jednak strony, gdyby z grzeczności odpowiedziała na jego zaloty, mógłby przyjąć to jako zachętę. Potem musiałaby zranić go i odrzucić jego oświadczenia. Była to komplikacja, nad przebiegiem której wolała nie myśleć.

Rozterka i panika musiały wyraźnie odbić się na jej twarzy, bo nagle Jonas zerwał się i ruszył ku niej. Miał do dziewczyny bliżej niż Indianin. Wyprzedził go. Raptowne pojawienie się Jonasa powstrzymało Franka, który skierował się ku innej.

Courtney podniosła wzrok na Jonasa i ujrzała dziwne światło w jego oczach. Usłyszała tętnienie krwi w skroniach. Jej serce biło jak młotem. Wyglądało na to, że Jonasowi weszło w zwyczaj wybawianie jej z opresji. Tym razem jednak jego decyzja kumulowała w sobie cały czar tej nocy.

Jonas zrozumiał, co się dzieje i zapobiegł powstaniu okropnej sytuacji, wybierając jedyny możliwy sposób postępowania. Dla Courtney miało to jednak nieco głębsze znaczenie. Krew ludu Miccosukee brała w niej górę. Jak w transie, powoli podniosła się i bez najmniejszego skrępowania przemówiła do niego oczami.

Po raz pierwszy poczuła się wolna, zdolna do prawdziwego wyrażenia swej miłości. Wiedziała, że po Tańcu już nigdy nie zobaczy Jonasa. Śmiało zachęciła go, by podążył za nią do kręgu innych tancerzy. Błysk porozumienia zamigotał na krótko w jego oczach, gdy

przyjmował jej wyzwanie i ruszał ku niej z kuszącym męskim wdziękiem.

Patrzyła z płomienną dumą, jak skrzyżował mocne ramiona na szerokiej piersi. Chciała krzyknąć do wszystkich zgromadzonych: oto jest mój myśliwy, mój wojownik, mój mężczyzna, ojciec moich dzieci, moje serce i moja dusza. Troszczy się o mnie, jest dobry dla mnie, czuwa nade mną. Jest kochankiem mego ciała. Jest uzdrowicielem mej duszy...

Jak kwiaty lawendy, które otwierają się do słońca, odsłaniając purpurowe kielichy, tak miłość Courtney objawiała się światu w każdym ruchu, każdym tanecznym kroku i w każdym zawinięciu długiej spódnicy, ocierającej się zmysłowo o nogi mężczyzny.

Wszystko odchodziło w niepamięć, a pieśń i taniec stawały się żywą częścią dziewczyny. Coraz szybciej pulsowała w niej krew. Ona śmiało spoglądała w jego skrzące się oczy. Chciała, aby poznał tajemnicę jej serca.

Stary taniec osiągnął kulminację. Courtney klękła przed Jonaszem i uniosła w górę ręce z rozchylonymi dłońmi, jakby błagała go o przyjęcie daru. Odtąd jej serce należało do niego. Oddawała mu je na zawsze. To przesłanie miłości, jak zapach perfum, miało unieść się w gorącą noc, rozkwitnąć i upoić mężczyznę, który zawładnął jej myślami od chwili, gdy ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Pieśń urwała się nagle, lecz puls dziewczyny bił coraz szybciej. Wstała z kolan, uśmiechnęła się uwodzicielsko do mężczyzny i spuściła oczy. Narzeczona...

Podczas tańca twarz Jonasa nie wyrażała żadnych uczuć, tak samo, jak teraz. Wzorem innych młodych ludzi znalazł wolne miejsce przy ognisku. Courtney poszła za nim, jak inne kobiety za swymi mężczyznami. Kiedy spoczął, ona usiadła obok. Jednak w przeciwieństwie do innych nie mówiła mu już niczego oczami. Taniec dobiegł końca, ona zaś poczuła się zupełnie wyczerpana, jakby oddała w nim swą duszę i całą swą istotę. Była teraz pustym naczyniem. Chwila jej życia minęła, pozostał po niej jedynie popiół.

- Przyniosę ci coś do jedzenia - powiedziała niskim głosem i zaczęła się podnosić, nie chcąc oglądać litości w jego oczach.

- Nie jestem głodny - odpowiedział i przytrzymał jej rękę. Musiała pozostać przy nim.

Ochryple brzmienie jego głosu błyskawicznie sprowadziło ją na ziemię.

- To należy do rytuału. Nawet jeśli nie chcesz niczego, ja muszę coś ci przynieść.

- Tylko wróć na pewno, Courtney! - Usłyszała głębokie westchnienie. - Mamy sobie wiele do powiedzenia. Jeśli znowu zaświtała ci w głowie jakaś myśl o ucieczce, bądź pewna, że cię znajdę.

Zadrzała, słysząc powściąganą groźbę zawartą w tym ostrzeżeniu i pobiegła do jednego z szałasów, gdzie choć przez chwilę mogła odetchnąć. Nikt nie wyglądał na mniej zakochanego niż Jonas.

Bardzo możliwe, że jej taniec wprowadził go w zakłopotanie. Teraz już wszyscy wiedzą, komu oddała serce. Zrewanżowała mu się za jego szybkie zażegnanie ewentualnego konfliktu z Frankiem Birdem.

Tańczyła tak prowokacyjnie, że mogłaby pozazdrościć jej Salome. Co ją opętało?!

Czujne oczy Rosy wpatrywały się w jej twarz, gdy nakładała bażanta i bataty. Dzięki Bogu, Indianka nie odezwała się. Nie musiała! Taniec Courtney powiedział wszystko.

Krocząc z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć, zaniosiła talerze Jonasowi i postawiła przed nim. Siadając, poczuła jego spojrzenie, obejmujące zarys jej pełnych kształtów, owal twarzy, egzotyczny wykrój ciemnobrązowych oczu. Fala gorąca przebiegła przez jej spięte ciało i na chwilę pozbawiła ją tchu.

Jonas nie tknął jedzenia.

- Świetnie tańczyłaś.

Próbowała patrzeć wszędzie, byleby nie na niego.

- Zrobiłam to dla Franka.

- Ciekawe! Nie widziałem żadnego Franka ani nikogo innego, odkąd zaczęłaś tańczyć. - Krew pulsowała mu w skroniach.

- Musiałam przecież wyglądać przekonywająco. Wszyscy to widzieli, było więc ważne, by wyszedł z tego z twarzą. Ponieważ ty okazałaś się szybszy, dałam plemieniu do zrozumienia, że jesteś moim wybrankiem. Dzięki temu Frank nie czuje się urażony. Ludzie mówią, że tak miało być. Frank wybrał inną dziewczynę i jest szczęśliwy, bo ona przyjęła jego oświadczenia.

Oczy Jonasa zwęziły się.

- Ale Frank chciał ciebie.

- Tylko tak mu się zdawało. Jak już ci kiedyś mówiłam, jestem swego rodzaju ciekawostką.

- Chyba sama w to nie wierzysz. Już przedtem zauważyłem, jak na ciebie patrzy. Obserwowałem, jak spoglądał na ciebie dzisiejszego wieczoru. A ja, gdyby to spojrzenie zabijało, dawno bym nie żył. Wśród tego nie znoszącego przemocy plemienia.

- To absurd!

Jonas sięgnął po kawałek bażanta i zatopił w nim białe, piękne zęby.

- Ty nie wiesz, jak działasz na mężczyzn, prawda? Nie miała nic w tej sprawie do powiedzenia, więc

wzięła do ust nieco batatów. Przełknęła je z największym trudem.

- Byłeś bardzo odważny. Muszę ci powiedzieć, że wybawiłeś mnie z kłopotliwej sytuacji.

- Naprawdę?

- Czy możesz mieć jakieś wątpliwości? - Błysnęła oczami.

- Nie wiem. Jest wielu mężczyzn, którzy chcieliby, żebyś ogrzała ich cziki, ale nie każdy odważy się stanąć do walki o ciebie, choćby nawet latami modlił się o szansę. To, co zrobił Frank, wymagało cholernej śmiałości.

- Czy jestem aż tak niedostępna? - zapytała matowym głosem.

- Wolę nie odpowiadać na to pytanie. - Z wyraźnym apetytem zaczął jeść batata. - A więc, co teraz?

- Co masz na myśli? - Jego pytanie zaskoczyło ją.

- Czy dzisiejsze uroczystości dobiegły końca?

- Nie. Teraz mężczyźni pójdą na wybrane miejsce i rozpoczną post. Kobiety będą spać w szałasach. Jutro zostanie przygotowany napój dla mężczyzn, który oczyści ich dusze z wszelkich występków. Potem

nastąpią dalsze tańce, a niektórzy wybiorą się na polowanie na białą czapłę. Jej pióra potrzebne są do innych obrzędów. Pojutrze odbędzie się sąd, zostaną wydane wyroki i wykonane kary. Trzynastolatki otrzymają imiona, a na końcu wszyscy spożyją zieloną kukurydzę, symbol wiosny. Jonas w skupieniu słuchał jej słów.

- Ile razy uczestniczyłaś w tym święcie?

- Tylko raz, i to jako dziecko.

- Co będą robić teraz te nowe pary? - spytał zadumany.

- Po jedzeniu rozdzielią się, jak reszta plemienia.

- A jak się spotkają ponownie?

- Znajdą jakiś sposób na to, aby się spotykać w następnych kilku dniach. Może pójdą na przechadzkę do lasu albo ukryją się za krzakami, żeby trochę poszeptać ze sobą.

- Ale nie będą się całować?

Z najwyższym trudem opanowała drżenie głosu.

- Nie, tego im nie wolno.

- A co im wolno?

- Ja naprawdę nie wiem! - Wzburzona do głębi zaczęła zbierać talerze.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, co zaszło między twoją matką a ojcem?

- Wiem, oczywiście. - Zarumieniła się. - Ale oni byli małżeństwem.

- A więc młode pary z plemienia Miccosukee nie śpią ze sobą przed ślubem?

- Nie, jeśli przestrzegają tradycji.

- Czy należysz do nich, Courtney?

- Chyba tak. To staromodne, ja wiem.

-No, to uzyskałem już odpowiedzi na pytania dotyczące dnia pierwszego.

Nastało milczenie. Courtney rozejrzała się i ze zdziwieniem spostrzegła, że większość par już się rozeszła. Była tak zajęta Jonaszem, że zapomniała o całym świecie.

-Jeśli chcesz zobaczyć, co się dzieje, gdy mężczyźni zbierają się, aby pościć, zabierz się z Bobem Willie'em.

- Jadę niedługo w teren z patrolem policyjnym. Niektórzy z tych rozrabiaków spoza rezerwatu mogą znów narobić kłopotu. Ale wrócę z samego rana.

Jego zamiar nie powinien jej dziwić. Głównym zadaniem superintendenta było zapewnienie mieszkańcom rezerwatu bezpieczeństwa i spokoju. Nawet gdyby cała policja plemienna została postawiona na nogi, Jonas i tak chciałby pomóc. Traktował swe obowiązki bardzo poważnie. Wiedziała o tym.

- Ja też pójdę. Gdybyś rano chciał więcej wyjaśnień, to znajdziesz mnie w pobliżu. Będę przygotowywać aparaturę do nagrania tańca szamana.

Jonas podniósł się i pomógł jej zebrać talerze.

- Zostajesz tu na noc z Rosą?

- Nie. Jadę do domu, żeby opisać to, co się dzisiaj działo. Zrobię jeszcze kopie nagrań.

- Mam nadzieję, że nie wracasz sama.

- Jonas, na miłość boską! Nie jestem przecież dzieckiem!

- I to mnie właśnie niepokoi! Odnieś te naczynia. Odprowadzę cię do domu i rozejrzę się po okolicy, aby mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

Niemal upuściła talerze.

- Nie musisz tego robić. Nie chcę odrywać cię od obowiązków. - Odwróciła się na pięcie i prawie pobiegła do szafasu. Wręczyła naczynia Rosie, która plotkowała z innymi kobietami sprzątającymi cziki.

- Rosa! Wracam do domu, ale będę tu przed siódmą rano - oznajmiła i wybiegła. Woląła dziś nie wdawać się z ciotką w żadne pogawędki na tematy osobiste.

Jonas czekał w ciężarówce zaparkowanej obok jej wozu. Włączył reflektory, oświetlając jej drogę. W głębi duszy była mu wdzięczna za to, że nie musi jechać sama w nocy, bocznymi drogami. Po dziesięciu minutach znalazła się przed domem. Chciała pomachać Jonasowi ręką w podziękę za opiekę, ale on, ku jej zdziwieniu, wysiadł z wozu i wszedł za nią do mieszkania. Skontrolował kuchnię i sypialnię.

- Co się dzieje, Jonas? Dlaczego jesteś taki ostrożny?

W zadumie potarł kark dłonią.

-Wszyscy są na uroczystościach. Nikt nie pośpieszyłby ci z pomocą, gdyby banda pijanych chuliganów postanowiła złożyć wizytę w rezerwacie.

Do tej chwili nie pomyślała o tym. Miał rację. W ostatnich paru miesiącach zdarzały się kłopoty. Rosa wspominała coś o tym.

-Jak widzisz, nikogo tu nie ma. Gdy tylko wyjdiesz, zamknę drzwi i zabezpieczę okna.

- Nie podoba mi się to - powiedział ponuro.

- Zostanę tu przez chwilę.

Courtney postawiła aparaturę na stole i bezwładnie opadła na sofę. Nie spodziewała się, że jeszcze raz będzie gościć go w swym domu. Prawdę mówiąc, od spotkania o świcie nic nie działo się tak, jak to sobie wyobrażała.

- Spodziewasz się kłopotów tej nocy?

- Zastanawialiśmy się nad tym z Bobem. Chyba przejdę się do kliniki i restauracji, a potem wrócę. Nie otwieraj drzwi nikomu innemu.

- Tego możesz być pewny - mruknęła. Zaczęła bać się o niego.

Wiedziała, że da sobie radę w każdej sytuacji, ale gdyby go jakaś banda zaatakowała, mógłby potrzebować pomocy. - Uważaj na siebie - szepnęła.

- Mówisz, jakby to naprawdę cię obchodziło - zakpił. - Wrócę tu jeszcze.

Odszedł, a dziewczyna zamknęła drzwi. Postanowiła, że w żadnym wypadku nie położy się, zanim nie zobaczy go całego i zdrowego. Poszła do kuchni po colę. Przez chwilę siedziała przy komputerze i próbowała sklecić relację z dzisiejszych obrzędów. Lecz myśl o tym, że w każdej chwili Jonas może wrócić, nie pozwalała jej na skupienie. Może też nie wrócić, bo znalazł się w paskudnej, a może niebezpiecznej sytuacji...

Po półgodzinnym przemierzaniu pokoju zaczęła ulegać panice. Jedyne, co mogła zrobić, to wyjść i odszukać go. Wizja potrzebującego pomocy Jonasa pchnęła ją do działania. Wyślizgnęła się frontowymi drzwiami. I wtedy nagle pojawił się przed nią.

- Chyba powiedziałem ci, żebyś nikomu nie otwierała.

- Nie było cię tak długo, że denerwowałam się - odpowiedziała. Mężczyzna wprowadził ją do domu i zatrzasnął drzwi. W jego zielonych oczach tliła się isierka rozbawienia.

- I jak ci się zdaje, co by to dało, gdybyś znalazła mnie leżącego w piachu?

Zadrżała na samą myśl o tym.

- Nie wiem. Nie pomyślałam o tym.

- To nie bardzo w twoim stylu - powiedział. Courtney przełknęła i tę insynuację...

- Napiłbyś się czegoś?

- Nie.

Jego nastrój się zmienił. Nie знаła go od tej strony.

- Jeśli już jesteś zadowolony, że wszystko w porządku, to czy zamierzasz pójść?

- Czy mnie wypraszasz?

- Nie, skądże znowu!

- To świetnie. Bo nie mam zamiaru odejść. Oparła się o najbliższe krzesło.

- Czy widziałeś coś podejrzanego?

- Nie. Ale jest jeszcze wcześniej.

- No więc... Jeżeli już nic dla ciebie nie mogę zrobić...

- Nie powiedziałem tego - odrzekł chrapliwym głosem.

Nagle zaschło jej w ustach.

- Zdaje mi się... - zaczęła, ale nim skończyła mówić, wyciągnął ku niej rękę i ujął jej twarz w dłonie. Powoli, nieuchronnie, usta obojga zbliżały się do siebie. Myśli dziewczyny rozplynęły się. Pozostał tylko

on i jego pocałunki. Chciała, potrzebowała tego od tak dawna, że nie próbowała się bronić. Jonas rozpałił ogień, który szalał teraz poza wszelką kontrolą.

Wgniótł ją w siebie, wtulił w swoje twarde ciało. To był cud! Pieściła jego piersi i ramiona tak, jak tysiąc razy, a może więcej, czyniła to w marzeniach, jak chciała to robić wcześniej tego wieczoru, gdy tańczyła dla niego.

- Czy wiesz przynajmniej, co ze mną robisz? - wyszeptał ustami na jej szyi, gdzie zapach perfum był najbardziej oszalamiający. - Pragnę cię tak bardzo...

Już samo przebywanie z nim sprawiało, że go pragnęła, a dziś w jego pieściznach było tyle namiętności, że uwolniła się od wszelkich zahamowań.

- Kochaj mnie - prosiła, okrywając jego twarz pocałunkami, wtapiając się w niego tak, aby czuł bicie jej serca.

Słowa te przełamały ostatnie bariery. Oplotła ramionami jego mocną szyję, chwytając wargami jego usta.

- Zostań ze mną tej nocy - kusiała, zanurzając palce w jego czarne włosy. Zadrżał od jej dotyku. Teraz dopiero pojęła w pełni siłę swej kobiecości i władzę, jaką ma nad nim.

- Czy wiesz, co mówisz? - Jego głęboki głos zabrzmiał w niej echem. Pieścił ustami jej oczy, włosy, usta. Od tych pocałunków krew krążyła w niej jak wino.

- Wiem tylko, co teraz czuję. Bo jestem z tobą - wyznała. Głos dziewczyny załamywał się z podniecenia. Całowała rękę, która pieściła

jej kark, jakby wszystkiego było za mało. - Czekałam na to od tak dawna!

- A jeśli zajdziesz w ciążę? - wyszeptał ponownie w jej szyję, a potem odsunął ją od siebie. - Może być ciąg dalszy...

Minęła wieczność, zanim znaczenie tych słów dotarło do jej świadomości. Chłodny dreszcz przebiegł jej ciało. Uwolniła się z jego objęć, póki jeszcze miała na to wystarczająco dużo siły. Powinna być mu wdzięczna za zachowanie rozsądku, gdy zupełnie postradała zmysły. Ale czuła tylko żal za kochaniem, które się nie spełniło.

Pozostawił jej ostateczną decyzję, ale miała to być decyzja zgodna z jego oczekiwaniami. Nie miała wątpliwości. Mógł jej jeszcze pożądać, ale coś już umarło. Coś nieuchwytnego wkradło się w jego serce i zmieniło go. Nigdy już nie będzie tak, jak dawniej...

- Courtney! - Trzymał ją jeszcze, wpatrywał się w jej twarz z napięciem, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć. Jego oczy straciły blask, gdy ostatecznie wysunęła mu się z ramion.

- Masz rację. Ryzykowanie ciąży tuż przed wyjazdem do Oklahomy nie byłoby zbyt mądre. - Zmusiła się do uśmiechu. - Nie wiedziałam, co robię, ani co mówię. To efekt tańca lub czegoś równie głupiego.

Wymówił jej imię chropawym szeptem, ona jednak nie była już tą szaloną z miłości kobietą, która oddawała mu się tak śmiało, pragnąc w zamian należeć do niego przez jedną tylko noc.

- Wiesz... - zaczęła drżącym głosem. - Tyle razy muszę ci dziękować, że aż mnie to krępuje. Możesz być jednak spokojny. Gdy

wyjdiesz tej nocy, nie będziesz już musiał dłużej pełnić u mnie służby ratowniczej.

- O czym ty mówisz? - zapytał ze złością. Zrobił krok w jej stronę, ale ona cofnęła się.

- Chciałabym, żebyś odszedł. Jeśli jutro będziesz potrzebował tłumaczki, Rosa zrobi to z największą przyjemnością. Jest jedną z twoich najgorętszych wielbicielek.

W mdłym świetle lampy twarz Jonasa była szara.

- Przecież nie chcesz, żebym odszedł, Courtney! Ja wspomniałem o możliwości ciąży tylko z troski o ciebie!

- Wiec wykonałeś już swój dzisiejszy dobry uczynek. Idź, proszę!

- Jeśli będą tu jakieś kłopoty, nikt ci nie pomoże - ostrzegł. Grymas wykrzywił jego twarz.

- Nie jesteś moim strażnikiem.

- Udowadniasz mi to bardzo dobitnie. - Napięcie między nimi sięgnęło szczytu. - Chyba przekonałaś mnie ostatecznie.

Za chwilę był już za drzwiami.

Myliła się, sądząc, że jej ból nie może już być okrutniejszy. Półprzytomna usiadła na najbliższym krześle. Nie była w stanie się ruszyć aż do pierwszego świergotu ptaków, zapowiadającego brzask. Wówczas ból ustąpił. Dziewczyna zanosła się ciężkim szlochem, który targał nią przez nie kończące się godziny. Dopiero po południu mogła pojechać na teren uroczystości.

Zapuchniętymi oczami wypatrywała Jonasa wśród Indian grających w piłkę, jednak nigdzie go nie dostrzegła. Odruchowo

spojrzała ku szafasom kuchennym, gdzie zauważyła Rosę przygotowującą mięso.

- Co ci się stało? - zapytała Indianka. Courtney nie była w stanie zaspokoić ciekawości starej kobiety.

- Czy dziś byłaś tłumaczką Jonasa?

- Nie. Myślałam, że ty to robisz.

Strach rozdarł serce dziewczyny.

- Czy widziałas go dzisiaj?

- Nie. Znowu wściekliście się na siebie?

- Rosa! - Courtney zawołała z rozpaczą. - Ja muszę wiedzieć, czy ktoś go tu widział! W nocy pojechał patrolować teren, ale miał wrócić, bo chciał koniecznie zobaczyć taniec Charliego.

- Potrafi zatroszczyć się o siebie.

- Nie wątpię! Ale lepiej bym się czuła, wiedząc, że ktoś go spotkał. Możesz porozmawiać z Bobem Willie'em?

Stara kobieta nie odzywała się przez chwilę.

- Zobaczę, co się da zrobić. Dokończ pieczenie mięsa, a ja pójdę do wodza.

Courtney wyczuła, że Rosa też jest zaniepokojona, choć za żadne skarby nie przyznałaby się do tego.

Wspaniały zapach dochodzący z cziki nasycił powietrze, Courtney jednak nie miała apetytu. Mogła tylko wypatrywać czarnych włosów i smukłej sylwetki Jonasa wśród różnych grup mężczyzn. W chwili gdy zobaczyła poważną twarz Rosy, pobiegła ku niej.

- Czego się dowiedziałaś?

- Jonas nie weźmie udziału w pozostałych uroczystościach.

- Dlaczego? Co się stało? - krzyknęła w panice.
- Przekazał Bobowi wiadomość, że jego ojciec miał atak serca.
- Och, nie! - Biedny Jonas! Było to najgorsze, co mogło go spotkać, kiedy opuścił firmę po konflikcie z ojcem. Mogła sobie wyobrazić, jak teraz siebie o to obwinia.

Po wydarzeniach ostatniej nocy nie przyjąłby dobrze jej pytań o Silasa, a tym bardziej współczucia. Nie chciała pogłębiać konfliktu. Jonas nie zniósłby wtrącania się w jego osobiste sprawy i zignorowałby każdą wiadomość od niej. Mogła przynajmniej zatelefonować do firmy.

- Rosa! Muszę jechać do Miami. Nie wiem, kiedy wrócę. Czy umiałabyś włączyć magnetofon i nagrać dzisiejsze pieśni oraz przypilnować moje rzeczy?

- Zajmę się tym. Ty jedź do Jonasa. Jesteś mu teraz bardzo potrzebna.

Rosa choć raz w pełni aprobowała jej postępowanie. Świadczyło to tylko o tym, jak bardzo martwi się o Jonasa. I jak mało wie o rzeczywistym stanie stosunków między nim a Courtney.

Gdyby dziewczyna powiedziała jej teraz całą prawdę, Indianka prychnęłaby tylko i odrzekła, że jest tak samo uparta jak matka. Rosa widziała taniec Courtney. Nic i nikt na świecie nie przekona jej, że to nie była prawda. I w tym tkwił cały kłopot. W sercu Courtney kryła się najszczerza prawda. Żadne słowa ani czyny nie zmienią tego nigdy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Courtney! Wiem, że jesteś zmęczona, ale nie zdążyłem jeszcze podziękować ci za wszystkie próbki roślin, które dla mnie zebrałaś. Są fantastyczne!

Przyjęcie się skończyło i wszyscy inni już wyszli; Courtney odegrała znakomicie swoją rolę, ale teraz nie mogła już udawać ani chwili dłużej. Chciała, żeby Bryce Towers zniknął.

- Cieszę się, że przywiozłam ci coś ciekawego. Był typowym profesorem, z przystrzyżoną brodą, wąsami i okularami w ciemnej oprawie.

- Dostarczyłaś mi kilka gatunków, jakich nigdzie nie znalazłem. Czy zabierzesz mnie z sobą następnym razem, gdy tam powędrujesz?

- Dam ci znać. - Uśmiechnęła się. - Ale minie chyba cały rok, zanim wybiorę się w rodzinne strony.

- Słyszałem o twoim stypendium. Gratulacje! Będziesz sławna, ja zaś będę musiał walczyć, żeby wydobyć coś z moich studentów.

- Sławy nie zyskuje się w naszym zawodzie, Bryce! Zyskuje się tylko siwe włosy i frustracje.

- Frustracje mamy zagwarantowane w każdym przypadku. - Spojrzał na nią z powagą. - Nie poszłabyś ze mną do restauracji przed wyjazdem z Miami?

- Nie! - Mogła być wreszcie szczerą. - Rano lecę do Zairu, na spotkanie z ojcem. Stamtąd prosto do Oklahomy.

- Przepraszam cię, Bryce! - przerwała im Linda. - Ktoś prosi Courtney do telefonu.

Dziewczyna poczuła, jak serce zakołatało jej w piersi. Czyżby Jonas? Ale Linda natychmiast potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, kto dzwoni.

-Wybacz mi, Bryce! - Courtney starała się zachować obojętność. Kto mógł teraz telefonować? Postanowiła rozmawiać w sypialni, którą przez ostatnie dwie noce dzieliła z Lindą. Usiadła na jednym z łóżek i sięgnęła po słuchawkę.

-Halo!

- Czy to Courtney Blake? - zapytał znajomy, kobiecy głos.

- Tak! - odpowiedziała powoli, próbując odgadnąć, kto telefonuje.

Nagle przypomniała sobie! - Pani Payne?

- Tak. Sylwia z biura powiedziała mi, że zastanę panią pod tym numerem. Przepraszam, jeśli dzwonię w nieodpowiedniej porze.

- Skądże znowu! Jak się czuje pan Payne? Bardzo przejęłam się jego stanem. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

- To był niewielki zawał. Silas wrócił już ze szpitala. Jeśli będzie słuchał lekarza, pożyje jeszcze długo. Bardzo dziękuje za kwiaty. Są piękne. Wszyscy jesteśmy pani za nie wdzięczni.

- Cieszę się, że mogłam mu w ten sposób pokazać, jak bardzo się martwię. Świetnie się z nim pracowało.

- Z kolei on wyśpiewuje hymny pochwalne na pani cześć. Czy to prawda, że opuszcza pani Florydę, aby prowadzić badania gdzie indziej?

- Jadę do Oklahomy.

- Jonas wspomniał o czymś takim kilka tygodni temu. Na długo?

- Co najmniej na osiemnaście miesięcy. Może i dłużej.

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie.

- Nie wiedziałam, że potrwa to tak długo. Czy przed wyjazdem znalazłaby pani czas i wpadła do nas na obiad? Serdecznie zapraszam!

- Bardzo bym chciała. - Ledwo mogła mówić z emocji. - Rano odlatuję do Zairu i już tu nie wracam.

- Do Zairu? Ma tam pani ojca, nieprawdaż? To miło, że go pani odwiedza przed rozpoczęciem badań.

- Ogromnie się za nim stęskniłam.

- Niezmiernie żałuję, iż nie dowiedziałam się o tym wcześniej. Silas też będzie rozczarowany. Bardzo panią polubiliśmy, gdy Jonas przedstawił nam panią.

Courtney nie była w stanie prowadzić dłużej tej rozmowy. Nieustannie przybliżała jej Jonasa. Słowa pani Payne wskazywały, że syn nie zdradził się przed nią z ich problemami.

- Bardzo się cieszę z poznania pani. Proszę przekazać najlepsze pozdrowienia panu Payne.

- Oczywiście! Czy Jonas odwozi panią na lotnisko? To nieoczekiwane pytanie wręcz wstrzymało jej oddech.

- Jadę z moją przyjaciółką, Lindą. Jonas musi być gotów na każde wezwanie, dzień i noc, więc nie może mi towarzyszyć - improwizowała.

Jeszcze raz cisza zapanowała w słuchawce.

- On kocha tę pracę. Ku wielkiemu rozczarowaniu Silasa, Jonas znalazł swe powołanie. Czy można było o tym marzyć?

- Nie rozumiem... - rzekła Courtney. Była ciekawa, co pani Payne ma do powiedzenia na ten temat.

- Początkowo ja też nie rozumiałam. Kiedy poinformował ojca, że odchodzi z firmy na stanowisko superintendenta, Silas myślał, że to tylko żart. Chwilę później Jonas miał już nominację.

Courtney wzięła głęboki oddech.

- Więc pani uważa, że to decyzja na całe życie?

- Oczywiście!

- Myślałam, że może skorzystać jeszcze z jakiejś okazji do zrobienia kariery politycznej.

- Nigdy! Owszem, przed laty nosił się z takim zamiarem, bo ojciec pchał go w tym kierunku. Ale później zainteresował się prawami Indian i przestał zupełnie myśleć o polityce.

Courtney, jak w transie, zsunęła się z łóżka. Próbowwała opanować przyływ adrenaliny, rozsadzający jej ciało.

- Lecz pan Payne ciągle o tym mówił.

- Wiem! - zaśmiała się serdecznie. - On zawsze był zaangażowany w politykę i miał nadzieję, że zarazi nią również syna. Jednak wszystko potoczyło się inaczej. Po zawale chyba ostatecznie zrozumiał, że Jonas musi żyć własnym życiem. Znając mojego syna wie pani, iż zagrzebie się w sprawy rezerwatu na wieki wieków, a my będziemy szczęśliwi, jeśli zobaczymy go na święta. Na pewno widuje go pani częściej niż my.

Courtney nie słyszała już nic więcej. Słuchawka wyślizgnęła się z jej dłoni i upadła na podłogę. Bliska omdlenia sięgnęła po nią i przycisnęła ponownie do ucha.

- Nie chciałam plotkować o Jonasie. Gadam i gadam, zamiast pozwolić pani zająć się przygotowaniem do podróży. Proszę nie

zapominać o nas. Podczas następnego pobytu w Miami proszę do nas zatelefonować. Musimy się spotkać.

- Dziękuję pani! - Dziewczyna ledwie mogła mówić. - Zadzwoń.

Do widzenia!

- Courtney! - zabrzmiał głos Lindy. - Pożegnaj się z Bryce'em.

Linda weszła do pokoju i stanęła jak wryta.

- Courtney! - krzyknęła przestraszona. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła co najmniej ducha. Co się stało?

- Nie mogę oglądać teraz Bryce'a. Powiedz mu, co chcesz.

Niepokój przyciemnił niebieskie oczy Lindy. -To musiało dotyczyć Jonasa. Czy coś mu się stało?

- Och, Lindo! - Courtney potrząsała głową w rozpacz. -
Popełniłam niewybaczalny błąd.

- Nie ruszaj się. Niech tylko spławię Bryce'a. Linda wróciła po chwili, lecz Courtney nie chciała jeszcze bardziej obarczać przyjaciółki ciężarem swoich problemów.

- Nic mi nie jest. Najlepiej będzie, jeśli teraz posprzątam po przyjęciu. Zaczę zmywać naczynia, a ty wycieraj.

- Chwileczkę! - Linda stawiała opór. - Nie myślisz chyba, że pozwolę sprzątać honorowemu gościowi.

- Proszę cię! - błagała Courtney. - Zaraz zwariuję, jeśli czymś się nie zajmę.

Długo, bez słów, popatrzyły sobie w oczy. Linda westchnęła.

- Jeśli będziesz chciała porozmawiać, to powiedz.

Następnego ranka załadowały walizki do bagażnika samochodu Lindy i pojechały na lotnisko. Dopiero podczas jazdy Courtney wyznała wszystko przyjaciółce.

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? - Linda spojrzała na nią zatroskanymi oczami. - Moim zdaniem powinnaś odłożyć inne plany na później, a teraz zająć się Jonaszem.

Courtney gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie znasz go. Nigdy mi nie wybaczy tego, co mu zrobiłam, co o nim sądziłam. To już koniec! - Zadrzała.

- To nie jest koniec! - upierała się Linda.

- Nie znasz go.

- Ale to ty cały czas stwarzasz problemy! - powiedziała Linda, patrząc na przyjaciółkę z powątpiewaniem. - Zawsze wymyślasz coś, co potem okazuje się nieprawdą. Po prostu się boisz.

- Czego się boję? - Courtney nie mogła znaleźć sobie miejsca.

- Wydaje mi się, że niepowodzenie rodziców wywarło na ciebie ogromny wpływ. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, lecz gdzieś głęboko żywisz przekonanie, że czeka cię samotność, jak twoją matkę, że nie osiągniecie z Jonaszem więcej niż twoi rodzice.

Courtney patrzyła przez okno nie widzącymi oczami.

- Masz rację. Jestem przerażona.

- No to pomyśl, jak przerażające będzie życie bez Jonasa, jak straszna będzie świadomość, że to nie musiało tak się skończyć, a jedyną przeszkodą był twój strach i twoja duma.

- Mama była zbyt dumna. Bob Willie powiada, że jestem zupełnie jak ona. Mówi, że była paranoiczką. Tak, jak ja.

- Ma rację! Ale musisz pamiętać, że matka wykazała wielką odwagę. Sięgnęła po coś, czego pragnęła, wbrew kulturze, w której wyrosła. Ty nie musisz walczyć z takimi przeciwnościami. Zastanów się nad tym!

Courtney zastanawiała się. Cały czas od rozmowy z matką Jonasa biła się z myślami.

- Naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało bez ciebie. Rozważę to wszystko podczas pobytu u ojca.

- I dobrze. Zadzwoń do mnie, gdy dojdiesz do jakiegoś wniosku.

- Zadzwonię w każdym przypadku. Courtney planowała zostać u ojca trzy tygodnie, jednak po dziesięciu dniach wsiadła do samolotu lecącego do Miami. Ojciec, wysłuchawszy jej zwierzeń, nakłonił ją do pójścia za radą Lindy. Musiała jeszcze raz spotkać się z Jonasem. Ojciec przekonał ją, że choć Jonas może nie chceć jej widzieć, ona powinna zaryzykować, aby zdobyć pewność.

Natychmiast po wyjściu z lotniska kazała taksówkarzowi zawieźć się do Willi Jonasa. Czowała się wyczerpana długim lotem, lecz obawiała się, że odwaga ją opuści, jeśli będzie dłużej zwlekać. Był niedzielny poranek, mogła więc zastać go w domu, nie wiedziała jednak, jaki ma rozkład zajęć ani jak spędza wolny czas, odkąd został superintendentem.

Zapłaciła taksówkarzowi i pobiegła schodami w górę. Nacisnęła dzwonek u drzwi. Upał dawał się już we znaki, więc zdjęła żakiet swej cytrynowożółtej sukienki, którą założyła na lotnisku.

Drzwi otworzyła Delia i powitała ją serdecznie. Niestety, Jonasa nie było w domu.

- Nie wiesz, gdzie może być?

- W rezerwacie.
- W niedzielę?
- Nie robi mu to żadnej różnicy. Zamieszkał tam prawie na stałe.

Rzadko przyjeżdża do domu, chyba tylko po pocztę albo, żeby się przebrać.

Courtney potarła czoło szczupłą dłonią.

- Myślałam, że się z nim dzisiaj zobaczę.
- Wejdź do środka i skorzystaj z telefonu. Sekretarka powinna wiedzieć, gdzie go szukać. Zadzwoń do niej do domu albo do rezerwatu.

- Świetnie!

- Idź do gabinetu Jonasa. Na biurku są wszystkie numery. Ja tymczasem zrobię ci lemoniadę.

Gabinet Jonasa wypełniała biblioteka ogromnej wartości. Styl tego wnętrza, poczynając od lśniącej podłogi z pięknymi dywanami, a na klasycznym, marmurowym kominku kończąc, odzwierciedlał prostotę i siłę właściciela.

Od jej ostatniego pobytu zaszła tu jedna istotna zmiana. Nad kominkiem pojawił się nowy obraz, który jakby wypełnił cały pokój. On właśnie na nie kończąca się chwilę przyciągnął jej wzrok. Czuła, jakby patrzyła w lustro na własne, choć trochę obce odbicie. Mała tabliczka z brązu wyjaśniała wszystko: księżniczka Suklatiki z Moczarów.

Zwilgotniały jej oczy. Jonas z pewnością poprosił jakiegoś malarza o wykonanie jej portretu ze zdjęcia, które zrobił podczas ich wyprawy na Moczary.

Czy ten promień miłości w jej oczach stworzyła tylko wyobraźnią artysty, czy jej uczucia do Jonasa były zawsze tak widoczne?

Kobieta na obrazie wyglądała jak zaczarowana. Słońce skrzyło się na powierzchni wody, na jej długich do pasa, kasztanowych włosach, na skórze, na stroju Miccosukee. Obraz dosłownie jaśniał wszechobecnym światłem. Zapierał dech w piersiach.

- Szkoda, że ścięłaś włosy. Na szczęście szybko ci odrosną - powiedziała przyjaźnie Delia. Podała jej napój i stanęła obok, by podziwiać obraz. - Jonas bardzo lubi ten portret. Chyba go jeszcze nie widziałaś, prawda?

Courtney skinęła głową. Nie mogła wykrztusić jednego słowa. Coś ogromnego utkwilo jej w gardle. Z grzeczności napiła się lemoniady, jednak przez cały czas jej myśli pędziły do przodu.

- Delia! - szepnęła. - Jeśli Jonas jest w rezerwacie, to go znajdę. Dzięki za wszystko. Zatelefonuję tylko po taksówkę i już idę.

Po paru minutach taksówka zajechała przed dom.

- Co mam powiedzieć Jonasowi, jeśli zadzwoni lub przyjedzie do domu?

Courtney ledwo oddychała z emocji.

- Nie mów nic. Zrobię mu niespodziankę. -Ale będzie zaskoczony! Powinnaś być teraz w Zairze, prawda?

- Tak! - zawołała przez ramię i wsiadła do auta. Rosa podniosła głowę znad kontuaru, gdy późnym popołudniem Courtney weszła do restauracji.

- Nareszcie! Czemu tak długo? Dziewczyna uśmiechnęła się do przyjaciółki swej matki.

- Wdałam się przecież w matkę. Wszyscy mówią, że jestem uparta. Chyba odziedziczyłam jej najbardziej charakterystyczną cechę.

- To nie byłoby takie złe! A kiedy włosy ci odrosną, wszyscy ci wybaczą.

Courtney nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Śmiech jednak zamarł jej na ustach, gdy Rosa rzekła prosto z mostu:

- Nie ma go tutaj.

Courtney nie musiała pytać, o kogo chodzi.

- Czy wiesz, gdzie jest?

- Nie, ale Bob Willie powinien wiedzieć.

- A gdzie jest Bob?

- Kłopot w tym, że Bob Willie nie jest z ciebie zadowolony.

- To żadna nowość.

- Powiada, że sprawiasz same kłopoty Jonasowi.

- A ty się z nim zgadzasz? - Courtney nie mogła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

- Czy przysporzysz mu jeszcze więcej kłopotów?

- Jak myślisz? - Spojrzała na Rosę. - Czy wystąpisz jako moja matka i oznajmisz Bobowi o ślubie?

Uśmiech rozjaśnił twarz kobiety.

- Chyba będę musiała porozmawiać z wodzem. A ty połóż się na chwilę w służbówce. Czyż nie przefrunęłaś właśnie pół świata?

-Tak.

- Jak się czuje ojciec?

- Świetnie.

- Zjedz trochę chleba. Jest jeszcze świeży.

- Myślałam, że mnie już nigdy nie poczęstujesz.

-Ha!

Courtney nie wiedziała, czy Rosa celowo pozwoliła jej spać przez resztę dnia, czy też do wieczora nie miała żadnych wiadomości.

Obudziła się po siódmej, zdezorientowana, nie wiedząc, która godzina.

Rosa stała w drzwiach.

- Nie śpisz. Świetnie.

Courtney zerwała się, nagle obudzona.

- Znalazłam go. Jonas popłynął łowić ryby.

- Gdzie?

- Nie powiedział.

- Mówiłaś Bobowi o ślubie?

- Nie musiałam. Charlie zobaczył, jak przyjechałaś i powiedział Bobowi.

Charlie zawsze wiedział o wszystkim.

- Rosa! - Dziewczyna odezwała się przytłumionym głosem. - Sprawa jest bardzo poważna. Muszę znaleźć Jonasa i porozmawiać z nim. Bob nie dał ci żadnej wskazówki?

- Nie. Powiedział, że Jonas wziął kilka dni wolnego i wybrał się na ryby.

- Wierzysz Bobowi?

- A ty nie?

Po dłuższym milczeniu Courtney przyznała:

- Wierzę. Rano ruszam na poszukiwanie.

- Asiyaholo doprowadził twoje kanoe. Jest w szopie. Ty śpij tutaj.

- Dziękuję ci. Teraz wiem, dlaczego mama uważała cię za najlepszą przyjaciółkę.

Z tymi słowami wybiegła do szopy. Musiała przygotować czółno do drogi.

Następnego ranka, gdy słońce wyrzało zza horyzontu, Courtney odbiła od brzegu. Czuła się tak, jakby odtwarzała scenę sprzed kilku miesięcy. Przed południem niebo było bezchmurne, upał stał się już nie do zniesienia.

Jonas mógł być wszędzie. Instykt nakazał jej skierować się na miejsce niedaleko opuszczonej cziki na terenie ścisłego rezerwatu przyrody, gdzie mógł rozbić obóz na noc i przygotować posiłek. Jeśli chciał być całkowicie sam, prawdopodobnie nie popłynąłby tam, gdzie kiedyś złowił rybę, gdyż było to zbyt blisko wzgórza jej rodziny. Nie sądziła też, aby ulokował się w pobliżu laguny, gdzie było pełno aligatorów. Mógł wybrać małą, odizolowaną zatoczkę, którą minęli płynąc do babci. Skierowała czółno w tę stronę. Po południu powinna się tam znaleźć.

Moczary rozkwitły egzotycznymi kwiatami, które podczas ich ostatniej podróży były zaledwie małymi pączkami. Tym razem jednak nie odczuwała obezwładniającego upału. Jej cały umysł, całe serce żyły tylko Jonasem. Odrzucała każdą myśl o tym, że może go nie znaleźć.

W pobliżu wielkiej kolonii białych czapli opuściła główny szlak. Przedzierała się przez gęszcz zarośli, zakrywający ją przed okiem obserwatora. Jonas nie może jej zauważyć, zanim nie będzie gotowa.

Kanoe bezszelestnie wślizgnęło się na trawę. Courtney wyskoczyła na ziemię i zabezpieczyła je. W mokasynach poruszała się tak cicho, jak zwierzęta zamieszkujące wzgórze.

Szybko przebiegła do zagajnika, pełnego barw i zapachów. Wkroczyła w pierwotny świat gigantycznych mahoniowych drzew, wielkich mchów, roślin żyjących gdzieś wysoko w górze. Bardzo lubiła ogromne paprocie, tworzące zagajniki na pniach większych drzew. Odetchnęła głęboko. Powietrze było parne i nieruchome. Czy on rzeczywiście schronił się tutaj, czy to tylko iluzja ostatniej nadziei?

Gdy zobaczyła brezentową płachtę zwisającą z dachu szałas, wiedziała, że go odnalazła. Uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Słyszała jednak tylko ptasi świergot i brzęczenie owadów. Pomyślała, że Jonas wybrał się łowić do jakiejś zatoczki i podkraśla się bliżej. Nigdzie nie widziała jego kajaka. Nie zwlekając ani chwili wróciła do kanoe, wyładowała bagaże i zaniósła je na swój punkt obserwacyjny w pobliżu cziki. Jej mężczyzna mógł wrócić dopiero po kilku godzinach, nie chciała jednak ryzykować. Musiała być gotowa przed zachodem słońca.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Dziewczyna niemal traciła zmysły ze zdenerwowania, choć wiedziała, że Jonas ma zbyt wiele doświadczenia i na pewno wróci do obozowiska za dnia. Tego wymagało niepisane prawo Moczarów.

Oparła głowę o plecak. I wtedy usłyszała plusk wiosła. Na kolanach przez gęstwinę liści patrzyła na mężczyznę. Miał na sobie białe szorty. Połysk brązowej skóry uwydatniał mięśnie jego wspaniałego ciała. Wyskoczył z kajaka i na chwilę zniknął pod wodą. Potem wyszedł na brzeg. Czarne włosy ociekały wodą. Wyjął z kajaka ryby i ruszył w stronę szałas. Courtney nie odrywała oczu od jego twarzy, pieszcząc każdy jej rys. Jego oczy miały ten sam odcień co

zielen Moczarów. Westchnęła czule, urzeczona ich pięknem. Zapragnęła ukazać mu się natychmiast. Czas jednak jeszcze nie nadszedł.

Jonas spryskał się środkiem przeciwmocarowym i założył białą koszulkę. Potem wypatroszył ryby. Wkrótce rozszedł się kuszący zapach. Mężczyzna nałożył rybę na talerz i zaczął jeść. Nie usiadł jednak na rozkładanym taborecie, ale oparł się o jeden ze słupów szalasu i zadumany zapatrzył się w przestrzeń. Jedzenie niezbyt go interesowało.

Courtney spojrzała w niebo. Słońce było już gotowe skryć się za horyzontem. Nadchodziła pora działania. Z tłukącym się w piersiach sercem ruszyła przez gęste zarośla, zbierając spódnicę, aby nie zahaczyła się o ciernie.

Zatoczyła wielki krąg. Chciała ukazać mu się przy kajaku, jakby właśnie wyszła z wody. Bliska omdlenia ze strachu i niepewności wkroczyła na otwartą przestrzeń.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- O mój Boże - usłyszała jego szept. Zatrzymała się kilka kroków przed nim. Cała krew odpłynęła z jego twarzy. Courtney nigdy dotychczas nie widziała Jonasa tak wstrząśniętego i - jeśli wzrok jej nie mylił - tak bezradnego.

Ciągle trzymał w palcach plastikowy talerz i widelec. Jak skamieniały stał przy słupie cziki.

- Nie chciałam cię przerazić - powiedziała cicho. Jej głos wyzwolił go z bezruchu. Cisnął talerz i widelec na stół i stanął wyzywająco z rękami na biodrach.

- Nie chciałaś zrobić wielu innych rzeczy - odezwał się wreszcie z wrogością, która ją zraniła. - Nie pytam, dlaczego pojawiaasz się nagle właśnie tutaj. Daj mi dziesięć minut i znikam.

- Jonas! - krzyknęła. - Ja cię szukałam! Rysy jego twarzy stężały.

- Nie rozumiem, dlaczego. I tak się składa, że nie chcę rozumieć. Jeśli nie wyraziłem się precyzyjnie, to zaraz naprawię błąd: zostaw mnie w spokoju, jasne?!

Śmiało podeszła bliżej. Widziała, jak pulsuje mu niebieska nitka na skroni.

- Jasne. - Z trudem przełknęła ślinę. - Ale muszę z tobą porozmawiać.

Wybuchnął okrutnym śmiechem.

- A to niezłe, prawda? Pamiętam czas, kiedy to ja chciałem rozmawiać z tobą. Ale ty wtedy bardzo wygodnie zniknęłaś. Teraz ja zrobię to samo.

Odwrócił się do niej plecami i zaczął przygotowywać się do opuszczenia szafasu. Nie mogła na to pozwolić.

- Ja cię kocham - wyznała.

Zakreślił się na pięcie, z neseserem w ręku.

- Daj sobie spokój, Courtney! Jesteś jedyną osobą, która nawet nie rozumie tych słów.

Gdyby nie widziała obrazu nad kominkiem, ode-szłaby zaraz, doszczętnie zdruzgotana odtrąceniem. Kobięcy instynkt, starszy niż czas, trzymał ją jednak w miejscu. Z niezwykłą dla siebie odwagą zapytała:

- Czy dlatego mój portret wisi w twoim gabinecie?

Potrząsnął głową, jakby uderzony. Tego pytania najmniej się spodziewał.

- Skąd o tym wiesz?

- Wczoraj rano prosto z lotniska pojechałam do twojego domu.

Miałam nadzieję cię spotkać. Delia pozwoliła mi zatelefonować z twojego pokoju. I tam zobaczyłam obraz.

Zacisnął dłoń na pasku plecaka.

- Czego chcesz, Courtney?

Zaciekłość brzmiąca w jego głosie przeraziła ją.

- Ciebie.

Te słowa zawisły między nimi w dusznym powietrzu. Gdy Jonas nie odpowiadał, dziewczyna podeszła bliżej.

- Słońce zachodzi, Jonas!

-A co, do diabła, mogę na to poradzić?! Za minutę mnie tu nie będzie, możesz rozporządzać całym szalasem. - Ładował na oślepy rzeczy do walizki.

Takim go jeszcze nie widziała. Zawsze bezwzględnie panował nad sytuacją. Jego zachowanie dodało jej odwagi koniecznej, aby przejść, choć na trzęsących się nogach, do realizacji dalszej części planu.

-Tylko mi nie opowiadaj, że zapomniałeś już o Tańcu Kukurydzy - zażartowała ostrożnie.

- O czym ty mówisz?! - Dosłownie zdarł brezent ze słupków.

- Zachód słońca jest porą, mającą wielkie znaczenie w kulturze Miccosukee. Nie pamiętasz?

- Jestem pewien, że zaraz odświeżysz moją pamięć. - Jego szorstkość byłaby zniechęcająca, gdyby nie dostrzegła pewnych sygnałów, mówiących, że Jonas trzymał się resztką sił.

- Zachód słońca to pora, kiedy mężczyzna przychodzi do szalasu ukochanej i zostaje z nią na zawsze.

-Nie widzę związku... - Jego twarz była jak blada, zmrożona maska. Ukląkł na podłodze cziki i zaczął zwijać śpiwór.

- W sprawach sercowych Indianka może złamać tradycję i poszukać ukochanego. Ty tańczyłeś ze mną podczas uroczystości. Teraz ja mam prawo podejść do twojej cziki. Przyszłam po ciebie, Jonas!

Przestał zmagać się z bagażami i rzucił na nią nieodgadnione spojrzenie.

- Czy mogłabyś to powtórzyć?

Nabrała powietrza głęboko w piersi i spojrzała w jego gniewne oczy.

- Wybrałeś mnie podczas rytuału święta wiosny, a ja zatańczyłam dla ciebie. Dzień dzisiejszy to dzień wyznaczony na nasz ślub. Starszyzna plemienna została o tym powiadomiona. Przyszłam szlakiem do twojej chaty. Czekam, kiedy powiesz, że jesteś szczęśliwy, że tu jestem.

Coś błysnęło w jego oczach, ale nie poruszył się.

- Powiedziałaś mi, że tańczysz dla Franka Birda.

- Bo bałam się powiedzieć ci prawdę.

- Więc jaka jest ta prawda? - zażądał gwałtownie i szarpnął węzeł śpiwora.

- Że cię kocham od pierwszego wejrzenia! - zawołała ze światłem w oczach. - Że w noc Tańca Kukurydzy moje serce było tak przepełnione miłością do ciebie, iż musiałam ci ją okazać. Inaczej umarłabym.

Jego twarz stężała. Wyglądała, jak relief na monecie.

- Tej samej nocy kazałaś mi wyjść ze swego domu.

- Tej nocy błagałam cię, żebyś został - poprawiła go. - To ty się cofnąłeś.

- Wiesz, czemu! - odrzekł.

- Był taki czas, kiedy nie obchodziłaby cię żadna ciąża.

Powoli prostował się.

- Był taki czas, kiedy byłem pewien, że zostaniesz moją żoną!

Szczęście moje nie miałoby granic, gdybyś zaszła w ciążę.

Piersi Courtney falowały ze wzburzenia.

- Może teraz zrozumiesz, jak strasznie bolało, gdy odsunąłeś się, przypominając mi o konsekwencjach. Chciałam leżeć w twych

ramionach przez całą noc, chciałam ci pokazać, jak bardzo cię kocham. Pragnęłam twojego dziecka bardziej niż kogokolwiek na świecie.

- A kiedy ta cudowna zmiana nastąpiła? - Jego głos zatruty był sarkazmem.

- Czyżbyś nie wiedział, że marzyłam, abys oświadczył mi się przed odlotem do Waszyngtonu? - zapytała drżącym głosem. - Ale ty odszedłeś bez słowa.

- Bo chciałem ci się oświadczyć w Waszyngtonie! Moja nominacja miała być prezentem ślubnym dla ciebie.

- Jonas! - zawołała miękko. - Skąd mogłam o tym wiedzieć?! A potem, gdy Silas oznajmił, że wkrótce będziesz się ubiegał o fotel gubernatora i że ożenisz się z Laurą, przeżyłam szok. Wszystko wydawało się być ostatecznie skończone.

- Ojciec zawsze wtrącał się w moje życie. Miał zbyt wielkie plany wobec mnie. A tym razem posunął się za daleko.

- Może teraz zrozumiesz, dlaczego tak łatwo uwierzyłam w to, co Raynor mówił Laurze o wykorzystaniu mojego plemienia do sfinansowania twojej kampanii. Przecież Laura temu nie zaprzeczyła! A potem padło moje imię... Powiedziała, że nie jestem dla niej żadną konkurencją... I że ma nadzieję, iż odejdę z firmy przed twoim powrotem z Waszyngtonu.

Jonas zaklął.

- Laura jest córką zmarłego wiele lat temu przyjaciela Silasa. Ojciec przyjął rolę jej opiekuna. Gdzieś zapewne po drodze oboje doszli do wniosku, że Laura zostanie moją żoną. Pewnie z tego biorą swój początek nasze problemy.

- Teraz wiem, że to było kłamstwo. - Wierzyła mu. Podeszła bliżej do niego. - Zaczęłam zdawać sobie z tego sprawę, a rozmowa z twoją matką utwierdziła mnie w tym przekonaniu.

- Rozmawiałas z Blanche? - Był szczerze zdziwiony. - Kiedy?
Poczuła ulgę, choć zdawała sobie sprawę, jak szybko zapada wieczór. Po raz pierwszy Jonas słuchał jej naprawdę.

- Jakies dwa tygodnie temu. Zatelefonowałam do kancelarii, żeby się dowiedzieć o stan zdrowia Silasa i zostawiłam telefonistce numer Lindy. Musiała dać ten numer twojej matce, bo zadzwoniła do mnie z podziękowaniami za kwiaty, które mu posłałam.

Jonas potarł kark dłonią.

- Te kwiaty miały dla niego ogromne znaczenie. Zwłaszcza że czuł się nieswojo po tym występie w firmie. Nie chciał cię zranić. Ale zaślepiła go ambicja. Po zawale zmienił swoje nastawienie. Nie spodziewałem się, że to kiedykolwiek nastąpi.

- To dobrze - szepnęła zadowolona, że Jonas pogodził się z ojcem.
- Twoja matka powiedziała mi to samo. Upewniła mnie też, że interesowałeś się sprawami Indian już podczas studiów prawniczych, i że wreszcie znalazłeś pracę na całe życie. Czy możesz mi wybaczyć, że zwątpiłam w ciebie?

Zapanowała cisza. Po dłuższej chwili odezwał się:

- Widzę teraz, że źle zrobiłem, czekając z oświadczeniami do nominacji. Chciałem jednak mieć wszystkie atuty w ręku, żebyś nie wahała się zostać moją żoną.

- Wahała się? - Courtney zawołała z niedowierzaniem. - Chciałam wyjść za ciebie z zamkniętymi oczami. Bałam się tylko, że

powstrzymują cię jakieś moje wady. Zaczęłam zastanawiać się nad powodami, z jakich nasz związek mógłby się rozpaść, podobnie jak małżeństwo moich rodziców. Bardzo się kochali, ale - jak powiedział tata - obawy matki przed niepowodzeniem w końcu ich rozdzieliły.

- Nasza sytuacja jest zupełnie inna, Courtney.

- To samo mówi Linda.

- Linda jest mądrą kobietą, Ale liczy się tylko to, czy ty w to wierzysz.

- Ja... Ja nie przyplłynęłabym tutaj, gdybym miała najmniejsze wątpliwości.

Narastało między nimi dziwne, niemal bolesne napięcie. Jonas rozejrzał się wokół, jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

- Gdzie masz kanoe?

- Z drugiej strony pagórka - odpowiedziała. Serce podchodziło jej do gardła.

Jego oczy bez końca pieściły twarz dziewczyny.

- A rzeczy?

- W zagajniku za szafasem. Wziął głęboki oddech.

- Zajmę się nimi któregoś dnia. Może za miesiąc. Mam ochotę przez ten czas nic innego nie robić, tylko kochać się z tobą. - Jego głos odbijał się echem gdzieś głęboko w jej sercu. - Czy jest jakieś magiczne słowo, którym powinienem zaprosić cię, abyś przekroczyła próg mojej cziki?

- Jonas! - Courtney ze szlochem szczęścia, nie dotykając stopami ziemi, pokonała dzielącą ich odległość. Rzuciła mu się w ramiona i przyłgnęła do niego.

- Najdroższa! - zawołał czule i zatopił twarz w jej włosach. Porwał ją z ziemi i wtulił w siebie. - Moja żono! Moja miłości!

Jego usta gorączkowo całowały jej twarz, każdy cudowny jej szczegół.

- Moja piękna Suklatiki! Już myślałem, że naprawdę utraciliśmy siebie. Uciekłem tu, żeby być sam na sam ze sobą i spróbować pogodzić się z przyszłością bez ciebie. Myślałem, że nie wrócisz do mnie nigdy. Ale Moczary są wypełnione tobą. Wszędzie, gdzie spojrzałem, wszystko, czego dotknąłem czy poczułem, przypominało mi ciebie. - Jego głos nagle zadrżał. - Nie opuszczaj mnie więcej, Courtney! Nie przeżyłbym tego.

- Ani ja! - Odnalazła jego usta i jęknęła w ekstazie, jakby rozpoczęła nowe życie. - Wybacz mi, że cię skrzywdziłam - szepnęła. - Nigdy więcej cię nie zranię.

- Kochanie! - Pieścił zmysłowo jej wargi. - Zanim na dobre zaczniemy miesiąc miodowy, musimy porozmawiać o twoim stypendium.

- Mogę z niego zrezygnować.

Jego dłonie znieruchomiały w jej włosach.

- Nie możesz. Wiem, że wiąże się ono z daną matce obietnicą, że nigdy nie zapomnisz o swoim dziedzictwie. Poza tym, czeka na ciebie stanowisko na uniwersytecie.

- Lecz ja nie mogę zostawić cię na osiemnaście miesięcy! Nie teraz!

- Znajdziemy i na to sposób. Będziemy odwiedzać się w każdy weekend. Każde spotkanie będzie jak miesiąc miodowy.

Jej serce wypełniała wielka, nie znana dotąd radość.

- Chciałbyś to zrobić dla mnie?

W odpowiedzi zamknął ją w ramionach.

- Taki już los kogoś zakochanego w antropologu. Osiemnaście miesięcy szybko minie, a potem już zawsze będziemy razem. Co powiesz na to, abyśmy mieszkali trochę tu, i trochę w Miami Beach?

- Cudownie! Ale...

- Jakie „ale”? - zapytał niecierpliwie.

- A jeśli zajdę w ciążę? - wyszeptła w jego zachłanne usta.

- Są na to sposoby, kochanie!

- Ale ja chcę mieć twoje dziecko! - nastawała, tuląc twarz do jego szyi.

- Ja też chcę - zamruczał w jej włosy. - Ale możemy z tym poczekać dziewięć miesięcy.

Wysunęła się z jego ramion.

- Czy to znaczy, że chcesz odłożyć nasz ślub? Czy dlatego nie wzięłeś mnie do tej pory?

Zaśmiał się głębokim, spokojnym śmiechem

- No, no! Pani Payne, jest pani bezwstydną.

- Przestań się droczyć! Ja cała czekam na ciebie.

- Myślisz, że ja nie? - zapytał głosem nabrzmiałym emocją. - Ale wyjaśnijmy wszystko na początku. Zanim zaczniemy się kochać, chcę

być absolutnie pewien, że rozumiemy się nawzajem, bo później nie będziemy mieli na to czasu.

Gdy nie odpowiedziała, wziął ją w ramiona i gniótł jej wargi w długim pocałunku.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia? Żadnych pytań?

- Nie - odpowiedziała. Odetchnął głęboko.

- Pani Payne! Powiedziała pani właśnie to magiczne słowo. - W jego głosie wibrowała zmysłowość. Delikatnie odsunął dziewczynę od siebie.

- Co robisz?

- Idę zapalić lampę.

- Dlaczego? - wyszeptała.

- Bo chcę patrzeć na ciebie.

Światło było na tyle silne, że ujawniło rumieniec na jej policzkach.

- Twoje oczy błyszczą tak samo, jak tamtej nocy, gdy tańczyłaś dla mnie. Zatańcz dla mnie znowu, Courtney! Tylko tym razem pozwól mi ujrzeć piękno twego ciała bez żadnych dodatków. Niektóre tradycje ludu twojej matki są mi jeszcze obce, ale rytuał miłosny porusza mnie do głębi. Pokaż mi raz jeszcze, że jestem twoim wojownikiem i twoim bohaterem. - Jego zielone oczy zwęziły się. - Spróbuję być tym wszystkim dla ciebie. Przysięgam!

Drżącymi dłońmi zaczęła rozpinać suknię.

- Będę twoim spokojem. Twoją przystanią. Twoim wytchnieniem. Będę się starała przynieść ci radość. Przysięgam!

Jego pierś wznosiła się i opadała.

- Każdej wiosny przyprowadzę cię tutaj, aby odnowić nasze śluby.

Tajemniczy uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Każdej wiosny będę tańczyć dla ciebie. Tylko dla ciebie. - Głos jej się załamał. - Jonas...

W tej chwili porwał ją w ramiona, by poprowadzić w rytuał najstarszy spośród wszystkich. Dwa ciała znalazły wreszcie siebie. Dwa serca stopione w jedno uniosły się nad cziki, w ponadczasowość Moczarów, które połączyły ich i które na zawsze stały się częścią ich przyszłości.

RS